SPACERKIEM PO MUZEACH • SZEMRANE KAWIARNIE WARSZAWY
POCZĄTKI TENISA • OKUPACYJNE LOSY ADOLFA DYMSZY

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 11-12 (2342-2343) LISTOPAD-GRUDZIEŃ 2020 • 9,90 zł w tym 8% VAT

Zdrowia,
ciepła i spokoju
na Święta
Bożego Narodzenia
i Nowy Rok

AdobeStock

12
ISSN 0039-1689
9 770039 168200

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY | JEDNOSTKA ORGANIZACYJNA SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO | Mazowsze. serce Polski
mik.waw.pl
Mazowiecki Instytut Kultury
warszawa, ul. Elektoralna 12

W NUMERZE:

CO NAM BUDUJĄ
4 Z wielkich największe – o Muzeum Historii Polski Jerzy S. Majewski
11 Muzeum w sieci
12 Miasto, które zmienia się z prędkością światła – Budimex dla Warszawy
14 Spokój i stabilność czy chaos – kto chce dzielić Mazowsze

CODZIENNOŚĆ DAWNEJ WARSZAWY
18 „Biały sport" warszawski – o stołecznym tenisie Robert Gawkowski
24 Zdrowie Warszawy – Adrian Sobieszczański
28 Kawiarnie, w których nikt jeszcze nie dostał kawy – Jarosław Górski

MUZEA I INSTYTUCJE KULTURY
32 Szymon Czechowicz. Między Krakowem, Rzymem i Warszawą – Katarzyna Komar-Michalczyk
38 Wenecjanie Dolabella i Piranesi – Jerzy S. Majewski
42 Pałac Pod Blachą. Nowa odsłona – Mariusz Klarecki w rozmowie z Tatianą Hardej
44 Adres niezwykły – Elektoralna 12 – Leonard Francman

HISTORIA
48 Fakty i mity. Okupacyjne losy Adolfa Dymszy przypomina Mateusz Pasternak

NOTATNIK WARSZAWSKI
56 *Cjankali* na Strajk Kobiet – Anna Kuligowska-Korzeniewska

KULTURA
58 Kropka nad i czy nadal znak zapytania? – Rafał Skąpski
60 Wojciech Jerzy Has – życie, twórczość, warszawskość – Rafał Dajbor
64 Ostatni Mohikanin – Wiesław Stasiak w rozmowie z Andrzejem Szymańskim
70 Boska Greta w pałacu Pod Blachą, czyli Warszawa w obcym filmie przedwojennym – Piotr Kitrasiewicz
74 Skrobel – Przemysław Śmiech
75 Warszawskie piwnice – Jacek Fedorowicz
76 Liście = ŻYCIE – Arkadiusz Szaraniec
78 TU „Europa" – Jarosław Zieliński

4

18

38

48

64

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, w księgarni im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu 7 i Księgarni Naukowej przy al. „Solidarności" 83/89

Adres redakcji:
ul. Wersalska 7, lok. 1, 03-955 Warszawa, tel. 22 741-01-30
Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
Zespół:
Ewa Kielak Ciemniewska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jarosław Zieliński (zastępca redaktor naczelnej)
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl
Anna Skowrońska (opracowanie graficzne)
Promocja: Paweł Ciemniewski, miesiecznik.stolica@gmail.com

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, prof. Kwiryna Handke, Tatiana Hardej, Michał Krasucki, Małgorzata Kubicka, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Jacek Olecki, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Rafał Skąpski, Adrian Sobieszczański, Paweł Stala, Arkadiusz Szaraniec, Przemysław Śmiech, Maria Terlecka, dr hab. Michał Wardzyński
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Kałuszko, Paweł Ciemniewski, Norbert Piwowarczyk, Jacek Sielski, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.
© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania śródtytułów i zmian tytułów.

Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl

Z wielkich największe **Muzeum Historii Polski**

Jerzy S. Majewski

Przyszłe sale wystawowe Muzeum Historii Polski mają tak wielką powierzchnię, że pomieściłyby boiska piłkarskie. W początku listopada 2020 r. umieszczono w nich pierwsze eksponaty. Na tyle duże, że dopiero po ich wstawieniu do wnętrza nad budynkiem założone zostaną stropy i dach

Operacja przenoszenia pierwszych eksponatów do nieukończonych jeszcze sal wystawowych trwała kilka dni. Dźwigi budowlane podnosiły z ciężarówek m.in. resztki pomnika Dzierżyńskiego, zwalonego z postumentu na placu Bankowym w listopadzie 1989 r., i angielską lokomobilę służącą niegdyś do napędzania maszyn rolniczych i transporter opancerzony SKOT.

Najpierw SKOT, potem dach

Przenoszenie SKOTA, fragmentów pomników i innych eksponatów o wielkich gabarytach miało widowiskowy charakter. Kiedy pod budynek podjechał tir, z długim na kilkanaście metrów pniem dębu, rzecznik Muzeum Historii Polski Marek Stremecki zauważył, że to od tego właśnie zabytku zaczynać się będzie opowieść o ponadtysiącletnich dziejach Polski. Według ekspertyzy dąb mógł wyrosnąć

pomiędzy 780 a 930 r. Pień dębu ma zachowaną strukturę przyrostów na 154 lata, jednak po uwzględnieniu brakujących warstw przyrostów można oszacować, że rósł przez ok. 190-200 lat. Dendrolodzy określili prawdopodobny upadek dębu na lata 40.-50. X w.

Pień będzie największym eksponatem muzeum. Musiał przejść konserwację, która zabezpieczyła go przed destrukcją po wyłowieniu z wody. Na eksponowanie pnia czekają już specjalne podpory z metalu. Póki co obiekt trafi do jednej ze skrzyń, które przygotowano pod kątem przechowywania eksponatów w miejscu prac budowlanych. Obiekty zostaną wyjęte dopiero po ostatecznym zakończeniu budowy.

Kiedy pod żelbetową skorupę muzeum podjeżdżały tiry przewożące wielkogabarytowe eksponaty, inne ciężarówki zwoziły elementy stalowych dźwigarów dachowych. Kratownice będą zamontowane nad pomiesz-

czeniami przeznaczonymi na wystawę stałą. Na dźwigarach zostanie wykonana żelbetowa płyta stropodachu, a na niej warstwy izolacji cieplnej i przeciwwilgociowej. Po skończeniu dachu będzie można powiedzieć, że największy budynek muzealny, jaki kiedykolwiek powstał w Polsce, jest ukończony w stanie surowym (generalnym wykonawcą jest Budimex SA, znany z realizacji kubaturowych i infrastrukturalnych). Nie oznacza to jednak zakończenia budowy. Montaż instalacji, prace wykończeniowe, wreszcie samo urządzanie ekspozycji mogą potrwać nawet kolejne dwa lata.

Gigant przy placu Gwardii

Siedziba Muzeum Historii Polski stanowi fragment większego kompleksu zlokalizowanego na terenie cytadeli warszawskiej tuż przy placu Gwardii. Sama cytadela powoli zamienia się w park Niepodległości, w którym już dziś działają Muzeum X Pawilonu i Muzeum Katyńskie. Muzeum Historii Polski zajmie środkowy budynek, którego skala dosłownie poraża. Będzie miał aż 44 tys. m^2 powierzchni użytkowej. Tymczasem w osobnych skrzydłach po bokach placu przewidziano siedzibę Muzeum Wojska Polskiego. Budowa jednego ze skrzydeł dla MWP jest już bardzo zaawansowana, a jego elewacje okładane są żelbetowymi płytami barwionymi w masie. Autorem projektu architektonicznego całości jest pracownia WXCA, która w 2009 r. zwyciężyła w konkursie na projekt siedziby MWP. Pierwotnie to właśnie MWP miało zajmować wszystkie trzy budynki wokół placu Gwardii.

Już dziś w żelbetowej skorupie Muzeum Historii Polski odczuwalny jest ogrom przyszłych pomieszczeń, wśród których będą gigantyczny hol z monumentalną klatką schodową i sala audytoryjna, która, jak mówi dyrektor Muzeum Historii Polski Robert Kostro, jakością akustyki nie będzie ustępować najlepszym salom koncertowym. Do tego dochodzą ogromne powierzchnie magazynowe w podziemiach, znacznie wychodzące poza obrys samego budynku. Te ostatnie częściowo zajmowane mają być przez MWP. Muzeum zacznie się z zewnątrz zmieniać, gdy żelbetowe ściany obłożone zostaną tonami płyt kamiennych, a wykrojone w betonowych ścianach ogromne okna wypełni szkło. Zgodnie z założeniem architektów fasada gmachu ma się stać zapisaną w kamieniu i współczesnej formie opowieścią o wielowiekowym nawarstwianiu się historii i jej odkrywaniu. Takie są założenia. Jaki będzie rezultat tych zamierzeń? Przekonamy się już niedługo.

Ekspozycja w układzie chronologicznym

Wróćmy do środka. W budynku zaprojektowano rodzaj przeszklonych loggii, z wnętrza których będzie widać m.in. bramę straceń, dalej prawy brzeg Wisły, a bliżej rozległy plac Gwardii, pod którym zbudowano podziemny garaż. Wnętrze muzeum zaskoczy zwiedzających nie tylko rozmiarami, lecz także nieoczekiwanie otwierającymi się perspektywami i przestrzeniami.

Imponująco zapowiada się sama ekspozycja, umieszczona na drugim piętrze. Już sama jej powierzchnia zapiera dech – aż 7 tys. m^2. Dodajmy, że na poziomie parteru zaplanowano ponad 1500 m^2 powierzchni na wystawy czasowe. Konkurs na ekspozycję Muzeum Historii Polski został rozstrzygnięty w 2011 r. Zwyciężyły pracownie WWAA Borys Kudlička oraz Platige Image.

Kiedy w 2011 r. przygotowywano założenia do konkursu na ekspozycję, podjęto decyzję, że ma ona zawierać najważniejsze wątki z dziejów naszego państwa i narodu. Sama narracja ma być skupiona wokół historii wolności z „uwzględnieniem procesów kształtowania i funkcjonowania parlamentaryzmu, instytucji i ruchów obywatelskich, walki o wolność i niepodległość", tworzenia się poczucia tożsamości oraz wątku poświęconego społeczeństwu i cywilizacji. Układ ekspozycji będzie chronologiczny. Został zbudowany wokół odrębnych tematów, aby w przystępny i atrakcyjny sposób opowiadać dzieje Polski. Trasa zwiedzania poprowadzi przez sześć galerii tworzących opowieści o historii kolejnych epok.

Zgodnie z tą logiką i osią czasu początek ekspozycji poświęcony jest najstarszym dziejom państwa polskiego. To tutaj zwiedzający, po wjechaniu windą lub pokonaniu szerokiej klatki schodowej, trafią na pień dębu. Tutaj też jako wyjątkowy świadek historii znajdzie się łódź dłubanka wyłowiona w 2016 r. z dna Jeziora Lednickiego, gdzie przeleżała ponad 1000 lat. Dłubanka jest w kawałkach i tak będzie zestawiona na ekspozycji. W Toruniu przeprowadzono jej konserwację.

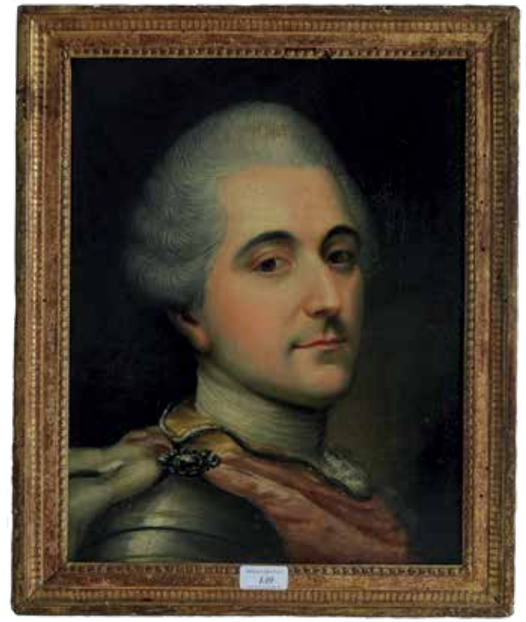

Marcello Bacciarelli (?), portret Stanisława Augusta Poniatowskiego, po 1764 r.

Wśród eksponatów przekazanych ostatnio przez służby konserwatorskie nie brak zabytków sięgających średniowiecza. Znalazło się tu m.in. kilkaset przedmiotów codziennego użytku wydobytych w trakcie wykopalisk na Wyspie Spichrzów w Gdańsku czy obiektów sztuki z epoki nowożytnej znalezionych podczas prac archeologicznych w katedrze lubelskiej.

Dotknąć Rzeczpospolitą

W ciągu dwóch ostatnich lat liczba nowo pozyskanych eksponatów znacznie się powiększyła. Muzeum dokonuje zakupów z różnych środków, ale też od 2016 r. prowadzi społeczną zbiórkę *Małe Wielkie Historie* – przyjmuje od prywatnych ofiarodawców rozmaite dokumenty, fotografie, pocztówki, listy, pamiętniki, odznaczenia czy elementy uzbrojenia, umundurowania, stroju. Tą drogą udało się już zebrać kilkanaście tysięcy obiektów. Jak opowiada Robert Kostro, w zbiorach muzeum jest obecnie ponad 45 tys. przedmiotów i ponad 800 depozytów. Z tej wielkiej liczby ok. 3 tys. eksponatów trafi na wystawę stałą.

Dyrektor zapowiada, że największy dział muzeum poświęcony zostanie czasom I Rzeczypospolitej. Tamtej wielonarodowej i wielowyznaniowej Polski już nie ma, ale w muzeum będzie można jej nieomal dotknąć. To tutaj znajdą się słynne wczesnobarokowe elementy kamieniarki z Pałacu Kazimierzowskiego, zrabowane przez Szwedów w dobie potopu, a przed kilku laty odnalezione wraz z ładunkiem zatopionej szkuty na dnie Wisły. Warto dodać, że szkuta zatonęła bardzo niedaleko od miejsca, gdzie dziś powstaje gmach Muzeum Historii Polski.

Izabela Czartoryska, *Poczet pamiątek zachowanych w Domu Gotyckim w Puławach*, Drukarnia Banku Polskiego, Warszawa 1828

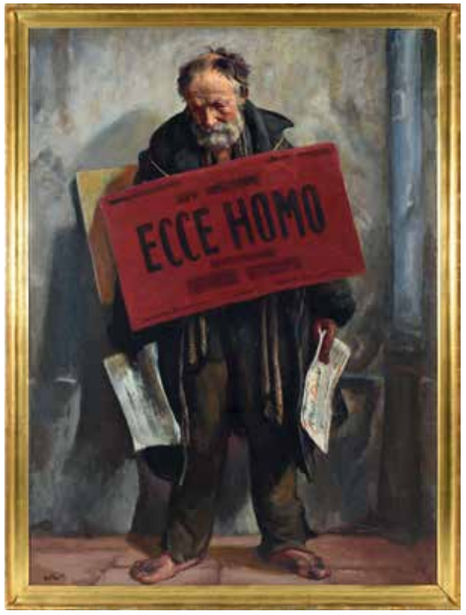

Wojciech Weiss, *Ecce Homo* (*Reklama*), 1934 r.

Z najnowszych zakupów dokonanych z myślą o urządzeniu części ekspozycji poświęconej epoce przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów wspomnieć należy trzy anonimowe staropolskie portrety szlacheckie z XVII w., kupione w 2017 r., a także nabyty w tym samym roku portret króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, być może pędzla Marcella Bacciarellego.

Epoka stanisławowska wyznacza kres I Rzeczypospolitej. Poświęcona jej będzie spora część ekspozycji, m.in. prezentująca rozwój kultury i sztuki, reformy podejmowane przez monarchę i opozycję magnacką, wreszcie ostateczny upadek państwa.

W dobie rewolucji przemysłowej

Odrębną opowieść stanowić ma część dotycząca XIX w. w Polsce. Była to epoka o wiele bardziej złożona i zróżnicowana, niż to się powszechnie wydaje. Na ekspozycji znajdzie się zarówno romantyczny salon z muzyką Fryderyka Chopina, jak też dział poświęcony rewolucji przemysłowej na ziemiach polskich. Pośród zabytków ilustrujących ten wątek historii jest m.in. mechaniczny warsztat tkacki z 1896 r., wyprodukowany w fabryce maszyn i odlewów Maurycego Bauera w Łodzi. Robert Kostro mówi, że poddany konserwacji warsztat trafi do przestrzeni poświęconej przemianom cywilizacyjnym i technicznym XIX stulecia. Jak zapowiada dyrektor, nie będzie to jedyny tego rodzaju zabytek. Zobaczymy jeszcze m.in. drewnianą cewiarkę z ok. 1900 r., służącą do przygotowywania cewek używanych w krosnach tkackich, również pochodzącą z Łodzi. Niedawno zakupionym eksponatem jest ręczny warsztat tkacki używany na Podlasiu aż do niedawna. Opowieść o rozwoju przemysłu w Polsce ilustrować będą również inne maszyny, w tym wspomniana angielska lokomobila, wstawiona do wnętrza budynku za pomocą dźwigu. Została ona poddana zabiegom konserwatorskim.

Innym wątkiem muzeum będzie rozwój polskiej nauki. Za ilustrację tej opowieści ma posłużyć zakupiona przez muzeum skrzynka z narzędziami chirurgicznymi do trepanacji czaszki, z pierwszej połowy XIX w. Będzie wystawiona w części dotyczącej przemian w nauce, stanowiąc motyw związany pośrednio z postacią Benedykta Dybowskiego – polskiego przyrodnika, podróżnika, badacza Bajkału, Kamczatki i Dalekiego Wschodu, ale też lekarza.

Relikty dwudziestolecia

Część nowych nabytków nawiązuje do dwudziestolecia międzywojennego. Robert Kostro zwraca uwagę, że do najcenniejszych artystycznie obiektów należy obraz olejny *Ecce Homo* (*Reklama*) Wojciecha Weissa. Namalowany został w 1934 r.; ukazuje nędzarza z tabliczką na piersiach z napisem *Ecce Homo* – człowiek trzyma w rękach codzienne gazety, w których zamieszczano ogłoszenia o pracy.

Niezwykłym zbiorem dokumentów jest archiwum Henryka Grubera, legionisty, twórcy i prezesa Banku Polska Kasa Opieki SA. To kilkaset dokumentów! Jak zdradza Robert Kostro, są wśród nich m.in. pamiętniki, nominacja Grubera na stanowiska w banku PKO, wreszcie list wysłany do niego przez Aleksandrę Piłsudską już po kapitulacji Polski we wrześniu 1939. Dyrektor mówi, że po upadku II Rzeczypospolitej w 1939 r. wdowa po marszałku pytała w liście, czy na emigracji książeczki PKO wciąż zachowują ważność. Sam Gruber znalazł się w czasie wojny w Argentynie, gdzie pozostał do końca życia. Pamiątki po Gruberze przekazały do muzeum jego synowa, wnuczka i wnuk: Mathilde Gruber, Julia Gruber von Waldenfels oraz Martin Gruber.

Starosta Powiatowy Kobryński.
Nr VI-1-c. Kobryń dn. XI. 1933 r.
Karta rzemieślnicza Nr. rej. 855
28 marca 1933.
Pan Michałowi Cymbalukowi
obywatelowi polskiemu
urodzonemu w 1909 r. w Sokołowie
na prowadzenie rzemiosła stolarskiego.
w (adres) Sokołowie, gm. Zabielska, pow. kobryńskiego.
przez zastępcę
pod firmą

(góra) Karta rzemieślnicza, nr rej. 855, wydana 28 listopada 1933 r. przez Starostę Powiatu Kobryńskiego na prowadzenie rzemiosła stolarskiego

(dół) Fotografia grupy żołnierzy 1 szwadronu tatarskiego 13 Pułku Ułanów Wileńskich pozujących obok gmachu koszar z buńczukiem podarowanym szwadronowi przez Tatarów wileńskich, 25 lipca 1937 r.

Neobarokowy srebrny pucharek ofiarowany Aleksandrowi Ładosiowi w 1931 r. przez pracowników Konsulatu RP w Monachium

Są w muzeum także dokumenty życia społecznego i codziennego związane z Kresami Wschodnim, fotografie, drobne wpinki (Polska Odznaka Sportowa, odznaka OZON-u) etc. To materiały szczególnie cenne.

Jednak do najbardziej fascynujących, nowo pozyskanych obiektów związanych z latami międzywojennymi należy zbiór ok. 60 wyrobów artystycznych pokazywanych w 1939 r. na wystawie światowej w Nowym Jorku *World's Fair*. – Przewodnim tematem wystawy było budowanie świata jutra – mówi Robert Kostro. Wystawa *World's Fair* trwała z przerwą zimową od wiosny 1939 r. aż do końca października 1940 r. Duży polski pawilon otwarty został w maju 1939 r. Przed wejściem do niego ustawiono pomnik Władysława Jagiełły – dziś stojący w nowojorskim Central Parku na tyłach Metropolitan Museum of Art. W wystawie uczestniczyła plejada znakomitych polskich artystów. Przedmioty i dzieła sztuki prezentowane w polskim pawilonie po zakończeniu wystawy zostały zakupione w 1940 r. na aukcji przez Jerzego Starczewskiego, zajmującego się m.in. dystrybucją polskich filmów w Ameryce. Część z nich trafiła do Muzeum Polskiego w Ameryce – w Chicago – część do domu przedsiębiorcy. Teraz zostały przekazane Muzeum Historii Polski przez siostrzenicę właściciela, panią Marię Starczewską. Są to m.in. meble inspirowane sztuką ludową i wyroby rzemiosła artystycznego. Jak zapowiada dyrektor Kostro, przedmioty z polskiego pawilonu w Nowym Jorku znajdą się w części ekspozycji poświęconej rzemiosłu artystycznemu dwudziestolecia.

Enigmy i radiostacja

Sporą grupę nowych nabytków stanowią przedmioty związane z czasami II wojny światowej. Wśród nich, jak zdradza dyrektor, znalazły się aż dwie maszyny szyfrujące Enigma. Pierwsza z nich kupiona została w 2018 r. od kolekcjonera i jest klasyczną niemiecką maszyną szyfrującą. W obiegu kolekcjonerskim podobnych maszyn można znaleźć bardzo wiele. Unikatem jest natomiast druga Enigma. Nabyta została w 2020 r. za pieniądze Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. To kopia niemieckiej Enigmy, do której części zbudowali Francuzi (wytwórnia Augusta Beilina) na bazie planów stworzonych przez Polaków. Robert Kostro podkreśla, że jest to jeden z dwóch istniejących egzemplarzy. Dotąd znajdował się w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Drugi egzemplarz przechowywany jest w zbiorach francuskich; był tylko raz zaprezentowany publicznie, pod koniec 2015 r. Przypomnijmy, że już w 1932 r. matematyk Marian Rejewski z Biura Szyfrów Sztabu Głównego Wojska Polskiego złamał szyfr maszyny Enigma. Był też pierwszym, który odczytał wiadomość wysłaną przy pomocy tego urządzenia. W kolejnych latach pomagali mu dwaj inni polscy szyfrolodzy i matematycy – Jerzy Różycki i Henryk Zygalski. Zamiast metody lingwistycznej dla łamania kodów Enigmy stosowali metodę matematyczną.

Innym przedmiotem w zbiorach MHP wyprodukowanym przez polskich inżynierów w konspiracji jest radiostacja NSP-1 z lat 1941-1942. Została pozyskana przed dwoma laty dzięki współpracy z prywatną fundacją.

Kolejna pamiątka związana z dwudziestoleciem międzywojennym, latami wojny i okupacji to zakupiony

w tym roku srebrny pucharek z 1931 r., należący niegdyś do Aleksandra Ładosia, przedwojennego konsula polskiego w Monachium. Ładoś to niezwykła postać, z zapomnienia wydobyta nie tak dawno wraz z ujawnieniem dokumentów z okresu II wojny światowej i opublikowaniem przez Instytut Pileckiego tzw. listy Ładosia. W czasie wojny od 24 maja 1940 aż do lipca 1945 r. Ładoś pełnił funkcję posła polskiego w Bernie w Szwajcarii w randze chargé d'affaires ad interim. Prowadził m.in. negocjacje z Litwinami w sprawie przystąpienia do planowanej po wojnie konfederacji polsko-czechosłowacko-litewskiej. Zajmował się polskimi żołnierzami 2 Dywizji Strzelców Pieszych gen. Bronisława Prugar-Ketlinga internowanymi w Szwajcarii, a także uchodźcami z Polski – Polakami i Żydami. Od początku swojej funkcji w Bernie uczestniczył w tajnej operacji *Sprawy paszportowe,* wydając polskim, ale też holenderskim Żydom tysiące paszportów (oblicza się, że ok. 10 tys.) i poświadczeń obywatelstwa różnych krajów Ameryki Południowej. W 1943 r. Szwajcarzy wykryli „aferę paszportową". Aleksandrowi Ładosiowi udało się ją zatuszować po osobistej interwencji u ministra spraw zagranicznych Szwajcarii Marcela Pilet-Golaza. Do Warszawy dyplomata powrócił dopiero kilka lat po październikowej odwilży, w 1960 r.

Szereg eksponatów przekazanych zostało do muzeum przez wojewódzkich konserwatorów zabytków. Jest wśród nich 10 rosyjskich butli na gaz bojowy, pośrednio łączących się z Warszawą. W czasie I wojny światowej w 1915 r. gazy bojowe były używane zarówno przez armię niemiecką, jak i rosyjską w trakcie walk pozycyjnych m.in. w puszczy Bolimowskiej na zachód do Warszawy. W warszawskich szpitalach umarło wówczas wielu rosyjskich żołnierzy poparzonych gazami bojowymi, a doświadczenia „wojny gazowej" w latach międzywojennych wywarły ogromny wpływ na przekonanie o wykorzystaniu śmiercionośnych gazów w przeszłej wojnie. Innym eksponatem związanym z czasami I wojny światowej jest

Elektromechaniczna maszyna szyfrująca Enigma I z dodatkowymi wirnikami

Radiostacja konspiracyjna NSP 1, nr seryjny 84, ok. 1941-1942 r.

zakupiony przez muzeum kompletny mundur żołnierza Armii Polskiej we Francji, zwanej Błękitną Armią, sformowanej w 1917 r.

Wspomniane na początku transporter opancerzony SKOT, fragmenty pomnika Dzierżyńskiego i pomnika Polsko-Radzieckiego Braterstwa Broni dłuta Stefana Momota stanowić będą część ekspozycji poświęconej czasom PRL. Na ekspozycji znajdzie się też Polski Fiat 125p – auto produkowane niedaleko od muzeum, po drugiej stronie Wisły, w FSO na Żeraniu. Jest w tym jakaś odmiana, ponieważ w większości urządzonych w ostatnich latach eskpozycji muzealnych poświęconych dobie PRL prezentowany jest „maluch", czyli Fiat 126p.

Zapewne do chwili otwarcia muzeum wzbogaci się o wiele kolejnych eksponatów. Będziemy do nich powracać. Mamy jeszcze trochę czasu, bo Robert Kostro ostrożnie zapowiada otwarcie Muzeum Historii Polski na koniec 2022 r.

Polski Fiat 125p, rok produkcji: 1977

MUZEUM HISTORII POLSKI

Muzeum w sieci

Muzeum Historii Polski przygotowało na czas pandemii zakładkę MUZEUM ONLINE. Zapraszamy m.in. do „zwiedzania" wirtualnych wystaw (zakładka *Odwiedź wystawę*) – mamy aż 20 prezentacji, zamieszczonych na platformie Google Arts&Culture, opowiadających o historii Polski, bogato ilustrowanych grafiką, fotografią, dokumentami i filmami. W zakładce *Wejdź do kina* umieściliśmy kilkadziesiąt filmów historycznych, z których najnowsze to *Niepokonany. Opowieść o generale Stanisławie Maczku*, *Kłamstwo katyńskie* oraz dwuczęściowy dokument *Kim był Jerzy Giedroyć?* W zakładce *Ciekawie o historii* „zwiedzający" znajdzie teksty, analizy i komentarze historyczne do bieżących wydarzeń i obchodzonych rocznic.

Na miłośników zabaw historycznych czeka ponad 20 quizów (zakładka *Quizy historyczne*) dotyczących m.in. Święta Niepodległości, Polek na kartach historii, filmu i kompozytorów polskich, historii radia i in. Jest też zakładka *Historia dla najmłodszych* (5-9 lat), a w niej m.in. *Królewski dwór* – cykl zajęć zawierający podstawowe informacje historyczne, *Piastodzieje* – ciekawostki historyczne o królach z rodu Piastów, cykl *Królewskie warsztaty plastyczne* oraz pakiet edukacyjny *Generał Maczek i jego żołnierze*, z filmem animowanym, kolorowankami i łamigłówkami dla najmłodszych.

Do starszych dzieci Muzeum kieruje domowe warsztaty *Jak nas inspirują źródła historyczne* oraz cykl *Wynalazki, które zmieniły świat.* Można tu znaleźć podstawowe informacje o źródłach historycznych oraz instrukcje wykonania przedmiotów inspirowanych źródłami, np. tarczy herbowej czy sakiewki. Uczniowie na stronie muzhp.pl znajdą m.in. opracowania edukacyjne dotyczące powstania styczniowego,

symboli narodowych czy życia codziennego w dawnych wiekach. W sekcji MUZEUM ONLINE młodzież, szczególnie przygotowująca się do matury, może skorzystać z pakietów edukacyjnych, dodatkowo MHP proponuje specjalne strony tematyczne, np. kosciuszko.muzhp.pl/, czy portal *Jan Karski i jego czasy* (karski.muzhp.pl/). W najnowszym pakiecie edukacyjnym, pod adresem obw.muzhp.pl, udostępniono materiały dotyczące odzyskania przez Polskę niepodległości i pierwszych lat II RP. Temu tematowi poświęcone są również infografiki oraz *Jednodniówki.*

Uczniów, nauczycieli i rodziców z pewnością zainteresuje Wirtualna Biblioteka, z wydawnictwami MHP w wersji cyfrowej. Z zasobów biblioteki można korzystać nieodpłatnie. Muzeum Historii Polski udostępnia na swojej stronie także pięć audiobooków (bezpłatnie) w serii *Klasycy historiografii*, zrealizowanych we współpracy ze znanymi aktorami: Antonim Pawlickim, Agnieszką Więdłochą i Magdaleną Górską (na stronie muzhp.pl, kanale YouTube MuzHPtv oraz w księgarni publio.pl): *Józef Piłsudski: 22 stycznia 1863*; *Życie polskie w dawnych wiekach (wiek XVI-XVIII)*; *Prawem i lewem. Obyczaje na czerwonej Rusi*; *Insurekcja warszawska (*17 i 18 kwietnia 1794 r.); *Marysieńka Sobieska. Klasycy polskiej historiografii* to projekt realizowany ze środków MKiDN w ramach programu „Kultura w sieci" zarządzanego przez Narodowe Centrum Kultury. ●

Miasto, które zmienia się z prędkością światła

Budimex dla Warszawy

W ciągu zaledwie pięciu lat Warszawa imponująco ewoluowała pod względem urbanistycznym. W stolicy powstało przede wszystkim wiele nowych biurowców oraz osiedli mieszkaniowych. Zwiększająca się sukcesywnie liczba ludności wpłynęła także na dynamiczny rozwój sektora infrastruktury m.in. drogowej i kolejowej. Jakie inwestycje przyczyniły się do poprawy komfortu życia w prawie dwumilionowej metropolii?

Miasto Stołeczne Warszawa zainwestowało pokaźne kwoty przede wszystkim w rozwój transportu miejskiego. Dzięki Szybkiej Kolei Miejskiej z łatwością można przemieszczać się nie tylko między oddalonymi od siebie dzielnicami, lecz także wyjechać daleko poza granice miasta. Poza rozbudowaną siatką torów w stolicy powstały także zupełnie nowe stacje PKP.

Jedną z firm, która przyczyniła się do rozwoju tego sektora, jest lider na rynku budowlanym – firma Budimex, która m.in. zmodernizowała w konsorcjum z innymi podmiotami ważny odcinek trasy kolejowej między Warszawą Zachodnią a Dworcem Gdańskim. W ramach zadania wykonano 4 km torów wraz z nową nawierzchnią i siecią trakcyjną oraz cztery przystanki z wiatami: Koło, Warszawa Zachodnia, Wola i Młynów. Ten ostatni był szczególnie istotny, ponieważ obecnie stanowi ważny węzeł przesiadkowy łączący kolej, tramwaje i nową linię metra. Za wykonanie tego projektu generalni wykonawcy otrzymali prestiżowe wyróżnienie – Diament Infrastruktury i Budownictwa.

Rozszerzeniem planu modernizacji kolei w stolicy jest trwająca aktualnie przebudowa przystanku PKP Warszawa Zachodnia. To najpopularniejsza pod względem ruchu pasażerskiego stacja w Polsce. Przejeżdża przez nią w ciągu doby ok. 1000 pociągów pasażerskich aglomeracyjnych, regionalnych, dalekobieżnych krajowych i międzynarodowych, towarowych oraz WKD i KM. Według najnowszych danych w ciągu jednego dnia roboczego z Dworca Zachodniego korzysta 60 tys. osób, a do 2030 r. liczba ta ma się podwoić. Pracami modernizacyjnymi zajmuje się Budimex, który zgodnie z koncepcją kompleksowo przebuduje ok. 30 km torów, 130 rozjazdów i sieć trakcyjną. Prace będą się odbywać na odcinku Warszawa Wschodnia – Warszawa Zachodnia i potrwają do 2023 r. Nowy układ umożliwi przejazd pociągów z linii obwodowej na linię radomską i stworzenie bezpośrednich połączeń Piaseczno-Legionowo i Legionowo-Lotnisko Chopina.

Budimex realizował także ważną dla rozwoju miasta przebudowę dwujezdniowej drogi łączącej ulicę Czerniakowską z ulicą Wolicką, znaną dzisiaj jako aleja Polski Walczącej. Poza trasą wykonano cztery skrzyżowania pełne i dwa skrzyżowania ze skrętami w prawo. Przestrzeń wzdłuż nowej drogi została zabudowana chodnikami i ścieżkami rowerowymi. W tym samym czasie budowane były także wodociąg i kanalizacja sanitarna. Jest to trasa niedługa, ale o dużym znaczeniu dla poprawy komunikacji na Dolnym Mokotowie. Fragment odciąża ulicę Czerniakowską w godzinach szczytu i jest skrótem między Wisłostradą a Trasą Siekierkowską.

Solidny partner do współpracy

Jeśli brać pod uwagę wszystkie projekty infrastrukturalne i kubaturowe, Budimex wykonuje prace na ponad 200 kontraktach i współpracuje z ok. 15 tys. podwykonawców i dostawców. Spółka w większości współpracuje z lokalnymi przedsiębiorstwami – z terenów, na których prowadzi prace. Jest to korzystne nie tylko dla przebiegu inwestycji, lecz także dla lokalnego rozwoju. Dużym osiągnięciem na tym polu jest bardzo dobra ocena wystawiona spółce przez podwykonawców. Budimex został wskazany jako najlepsza firma budowlana, oferująca najkorzystniejsze warunki finansowe i terminowo wywiązująca się z płatności. Jest także polecana jako najlepszy partner do współpracy. Potwierdzają to najnowsze badania, przeprowadzone wśród ponad 300 firm, przez ASM Centrum Badań Analiz i Rynku.

O dobrze przebiegającej współpracy wypowiadają się także inwestorzy realizowanych przez Budimex kontraktów. – To solidny i wartościowy partner na polskim rynku transportowo-budowlanym. Jako Siemens Mobility w ciągu ostatnich kilku lat mieliśmy okazję rozwijać z nimi owocną współpracę w zakresie projektów ITS-owych. Współdziałaliśmy m.in. przy projektowaniu analiz ruchu, budowie sygnalizacji świetlnych i wdrożeniu inteligentnych systemów transportowych do Warszawy – komentuje Krzysztof Celiński, prezes Zarządu Siemens Mobility.

Przy realizacji wszelkiego rodzaju kontraktów spółka kładzie ogromny nacisk na bezpieczeństwo oraz finalizację projektów w terminie. Wieloletnie doświadczenie na rynku, własny sprzęt i niezawodna kadra specjalistów pozwalają prowadzić najbardziej skomplikowane projekty. – Budimex to przede wszystkim firma kojarzącą się z największą dbałością o pracowników, wyśrubowanym poziomem bezpieczeństwa i najwyższym

stopniem lojalności wobec klienta. To są, niestety, nadal rzadkie cechy na polskim rynku i jestem głęboko przekonany, że Budimex zarówno teraz, jak i w kolejnych latach będzie stanowił inspirację dla rynku budowlanego – mówi Jan Styliński, prezes zarządu Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa.

To, co pozwala spółce prowadzić rozbudowane i ambitne projekty, to posiadanie własnego sprzętu do realizacji inwestycji oraz zatrudnianie wyspecjalizowanej kadry inżynierów. Nie bez znaczenia pozostaje również fakt ponad 50-letniego doświadczenia na rynku. – Cieszymy się, że od lat możemy budować na terenie całego kraju. Kontrakty w dużych miastach, takich jak Warszawa, to zazwyczaj specyficzne projekty. Wielokrotnie przy realizacji dróg czy torów musieliśmy brać pod uwagę szereg zmian w transporcie miejskim, z którego dziennie korzystają tysiące osób. Mimo intensywnych prac miasto musi sprawnie funkcjonować. Jesteśmy jednak firmą o wielkim doświadczeniu w realizacji tego typu projektów, więc podołaliśmy wyzwaniom – komentuje Dariusz Blocher, prezes zarządu, dyrektor generalny Budimex.

Budowlana przyszłość stolicy

Oprócz zadań drogowych i kolejowych Budimex realizuje inwestycje energetyczne i kubaturowe. Przykładem takiego projektu w stolicy jest realizacja ponaddziewięciokilometrowego kolektora wzdłuż Wisły dla MPWiK. Kontrakt obejmuje również wykonanie separatora, ok. 70 studni rewizyjnych i 10 komór technologicznych oraz pompowni opróżniającej. Obiekt, który powstanie do końca 2023 r., będzie miał pojemność ponad 13 basenów olimpijskich. Jego zadaniem będzie magazynowanie nadmiaru ścieków oraz wód opadowych, spływających z terenu lewobrzeżnej Warszawy w czasie intensywnych opadów deszczu.

Drugim bardzo ważnym dla stolicy obiektem jest gmach Muzeum Historii Polski. Zakres prac realizowanych przez Budimex obejmuje wykonanie budynku wraz z niezbędnymi instalacjami umożliwiającymi aranżację wystawy stałej, prezentującej dzieje historii Polski. Na sześciu kondygnacjach (czterech naziemnych i dwóch podziemnych) oprócz części wystawienniczej znajdą się pracownie konserwatorskie, laboratoria, magazyny muzealne, centrum edukacyjne oraz biura i pomieszczenia socjalne dla pracowników. W muzeum przewidziano również salę kinową, bibliotekę, restaurację i kawiarnię. Monolityczną, żelbetową konstrukcję budynku ozdobi elewacja z kamienia z przeszklonym wejściem głównym.

Ciekawym rozwiązaniem zastosowanym w budynku Muzeum jest system BMS, który będzie wyposażony w inteligentny moduł odpowiedzialny za przewidywanie potencjalnych awarii i ich automatycznego zgłaszania służbom technicznym obiektu. Placówka będzie też wykorzystywać odnawialne źródła energii geotermalnej. Podczas odwiertów gruntowych powstanie 30 sond o głębokości ok. 160 m, które będą stanowiły źródło ciepła i chłodu. Przed pożarem obiekt będzie chronić nowoczesna instalacja, przetwarzająca wodę w mgłę wodną. Pozwoli to na znaczne ograniczenie zasięgu pożaru oraz bardzo ułatwi późniejszą akcję ratownikom i umożliwi szybką ewakuację ludzi w razie potrzeby. Z kolei nowoczesna instalacja wentylacji mechanicznej zapewni mikroklimat, który pozwoli na zachowanie wymaganych parametrów dla wystaw czy też magazynowanych eksponatów.

Zrównoważony rozwój

Generalny wykonawca nie tylko dba o rozbudowę i wzrost gospodarczy Warszawy, lecz także działa na rzecz środowiska. Nowy projekt pod nazwą *Budimex dla natury* zakłada generowanie mniejszej ilości odpadów, zmniejszenie emisji CO_2 do środowiska i eksploatacji ekosystemu. Dlatego już teraz na placach budowy generalnego wykonawcy coraz częściej montuje się panele solarne do zasilania zaplecza inwestycji oraz ponownie wykorzystuje poszczególne surowce, materiały i produkty do realizacji kolejnych projektów.

Proekologiczne inicjatywy oraz dynamizacja procesów rewitalizacji są niezmiernie potrzebne tak dużemu miastu jak Warszawa. Stolica pełni wiele ważnych funkcji: administracyjną, gospodarczą, polityczną i kulturalną. Rozbudowa i modernizacja dróg, mostów i kolei wpłynęły na trwałe podniesienie jakości życia jej mieszkańców. W planach Urzędu Miasta st. Warszawy na następne lata jest m.in. zagospodarowanie placu Defilad, dalsza rozbudowa metra i przebudowa placu Zawiszy. Kolejna dekada może być kluczowa dla Warszawy pod względem architektonicznym i gospodarczym. ●

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik, wójt gminy Izabelin Dorota Zmarzlak

E. Sawicki, W. Piekarski

Spokój i stabilność czy **chaos**

Powrócił pomysł podziału województwa mazowieckiego na dwoje. W środku dzisiejszego województwa miałoby powstać województwo warszawskie, w którego skład weszłoby m.st. Warszawa oraz dziewięć okolicznych powiatów. Nawet trudno wyobrazić sobie konsekwencje tej „dziury" – stworzonej w jednej jednostce administracyjnej przez inną administrację – jej konsekwencje komunikacyjne, infrastrukturalne, finansowe, społeczne, w sferze zarządzania, administrowania i inwestowania. I problemy, których dziś nie sposób przewidzieć

Kolejne samorządy i instytucje, również szczebla unijnego, występują w obronie integralności Mazowsza. W kraju toczy się walka z niewidzialnym wrogiem – koronawirusem. Mimo to partia rządząca twardo obstaje przy swojej koncepcji podziału województwa mazowieckiego. Ale konkretów nadal nie przedstawia.

– Jestem zdumiony i oburzony wypowiedziami polityków PiS dotyczącymi „rozbioru" Mazowsza. W kraju panuje pandemia koronawirusa. Ludzie umierają z powodu covid-19, brakuje miejsc w szpitalach, a PiS chce zniszczyć Mazowsze – mówi marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik.

Podczas debaty *Szanse i zagrożenia potencjalnego podziału województwa mazowieckiego*, zorganizowanej podczas konferencji Stowarzyszenia „Tak! Samorządy dla Polski" w Izabelinie 23 października 2020 r., wójt gminy Izabelin Dorota Zmarzlak zaznaczyła, że obecna sytuacja w kraju powinna skłaniać raczej do dyskusji, jak zwalczać epidemię i w jaki sposób pomagać szpitalom i lekarzom, a nie koncentrować się na kwestii podziału Mazowsza. Podczas tego samego spotkania prezydent m.st. Warszawy Rafał Trzaskowski przekonywał: – PiS-owi chodzi o przejęcie władzy i rozdawanie stanowisk. Tworzy kolejny temat, którym się będziemy zajmowali. To walka z epidemią powinna być teraz najważniejsza. Czy stać nas na to, by wydawać pieniądze na kolejne wybory, i czy te wybory powinny odbywać się w trakcie epidemii?[1] – pytał retorycznie. Podkreślił, że podatki z Warszawy płyną na całe Mazowsze i dzięki temu region się rozwija.

Stolica w Radomiu?

Naukowcy, samorządowcy, ludzie kultury, mediów, a także spore grono polityków w podziale Mazowsza widzą więcej szkód niż pożytku. Ale są też głosy odmienne. Słychać je głównie z południa województwa, które – wierząc w niepoparte niczym obietnice – liczy, że skorzysta na „rozbiorze". Szansy dla Radomia w całym tym zamieszaniu upatrują np. radomscy radni miejscy. Zwolennicy podziału zwracają m.in. uwagę na duże różnice między Warszawą a pozostałą częścią województwa, choćby w sferze materialnej, dostępności do pracy, edukacyjnej, zdrowotnej. „Radni wskazują na zróżnicowanie stopy bezrobocia w województwie; jedna z najwyższych jest w powiecie radomskim. Po wyodrębnieniu Warszawy z województwa Radom jest – przekonują sygnatariusze – najlepszym kandydatem na siedzibę województwa. Jako argument podają wielkości miast, ich zaludnienie itp. Uważają, że nie bez znaczenia jest budowa w Radomiu lotniska" – relacjonuje Bożena Dobrzyńska w artykule zamieszczonym na portalu www.mojradom.pl[2].

A więc stolicą województwa ma być po tej reformie Radom, który odebrał pierwszeństwo Płockowi – o którym politycy mówili wcześniej. Polityczna loteria? Tylko co na to mieszkańcy Ciechanowa, Mławy, Ostrołęki, gdy okaże się, że udanie się do urzędu będzie całodniową wyprawą? Wśród urzędników PiS kołacze się jeszcze inny pomysł – pięć urzędów marszałkowskich w pięciu miastach, np. Siedlcach, Płocku, Ostrołęce, Ciechanowie – w każdym mieście jeden wicemarszałek, w Radomiu – nad nimi – marszałek. Jest to dobry sposób, aby obecny znakomicie działający urząd marszałkowski zniszczyć, pogrążyć w dezorganizacji.

UE dementuje

Częste są też niepoparte argumentami opinie dotyczące unijnych funduszy. Wojciech Zabłocki (PiS), radny województwa mazowieckiego, w wywiadzie dla „Życia Stolicy" tak argumentował konieczność wydzielenia Warszawy z Mazowsza: „Musimy wzmocnić Warszawę [sic!]. Za administracyjnym podziałem Mazowsza przede wszystkich przemawiają względy ekonomiczne. Mam tu na myśli np. możliwość pozyskiwania dużo większych funduszy z budżetu Unii Europejskiej na rozwój naszej stolicy i realizacje inwestycji miejskich. Od lat jestem gorącym zwolennikiem decentralizacji stolicy, ale z zainteresowaniem przyglądam się też pomysłom wydzielenia jej jako oddzielnego województwa na mapie Polski […]"[3]. Z kolei do pomysłu podziału Mazowsza w kontekście programowania RPO WM 2021-2027 odniósł się reprezentujący Komisję Europejską Christopher Todd, zastępca Dyrektora Generalnego ds. Wdrażania – Polska, Dyrekcja Generalna ds. Polityki Regionalnej i Miejskiej: „Ze względu na efektywne zarządzanie optymalnym rozwiązaniem jest utrzymanie jednej Instytucji Zarządzającej i jednego regionalnego programu dla województwa mazowieckiego w okresie budżetowym 2021-2027"[4]. Powołał się na stanowisko Komisji Europejskiej, wyrażone w piśmie dyrektora Ericha Unterwurzachera z Dyrekcji Generalnej ds. Polityki Regionalnej i Miejskiej. „Istniejąca Instytucja Zarządzająca mazowieckim Regionalnym Programem Operacyjnym 2014-2020, z siedzibą w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Mazowieckiego, rozpoczęła już przygotowywanie programu regionalnego na lata 2021-2027 i kilkakrotnie omawiała go z moimi pracownikami. Jak powiedzieliśmy, nie opowiadamy się za utworzeniem dwóch nowych instytucji zarządzających dla dwóch odrębnych programów"[5] – wskazał w piśmie dyrektor Erich Unterwurzacher.

Samorządowcy się sprzeciwiają

Plany dzielenia Mazowsza zakwestionowali nawet radni Białegostoku. W przyjętym 26 października stanowisku czytamy: „Rada Miasta Białystok wyraża sprzeciw wobec sposobu procedowania przez polityków PiS podziału administracyjnego województwa mazowieckiego. Proces ten przeprowadza się w sposób nietransparentny, bez konsultacji społecznych i przy wyraźnym sprzeciwie władz samorządowych poszczególnych gmin, powiatów i województwa. To przejaw instrumentalnego traktowania i wyjątkowej arogancji PiS wobec wspólnot samorządowych"[6].

Uchwałę za podzieleniem województwa mazowieckiego przyjęło kilka rad, m.in. Rada Powiatu Radomskiego. Z kolei za zachowaniem integralności Mazowsza opowiedziało się do tej pory ponad 100 podmiotów (samorządów, instytucji, organizacji, stowarzyszeń). Uchwały w tej sprawie podjęły m.in rady gmin: Długosiodło, Lipowiec Kościelny, Izabelin, Łąck, Sońsk, rady miejskie w Mszczonowie, Grójcu, Ciechanowie, Warszawie, Konwent Wójtów i Burmistrzów Powiatu Płońskiego, Stowarzyszenie Metropolia Warszawska oraz rady powiatów: gostynińskiego, piaseczyńskiego, ciechanowskiego i ostrołęckiego. Radni obawiają się negatywnych konsekwencji ewentualnego podziału, jak chaos, brak pieniędzy na inwestycje czy wypłaty środków unijnych z perspektywy 2021-2027. „Województwo

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski, prezydent Płocka Andrzej Nowakowski, prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, wójt gminy Izabelin Dorota Zmarzlak, marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik, zastępca wójta Izabelina Michał Postek

mazowieckie z budżetem przewyższającym 3 mld zł gwarantuje stabilny i równomierny rozwój wszystkim mieszkańcom na całym obszarze. Jego podział oznacza dla Mazowszan przede wszystkim wielomiesięczny chaos, odsunięcie wykorzystania środków unijnych z nowej perspektywy, ogromne wydatki na dodatkowe zastępy urzędników, a dla obszaru, który pozostanie bez Warszawy i jej dochodów, również kiepskie finansowe perspektywy" – wskazuje wójt Izabelina Dorota Zmarzlak.

I dodaje, że na walkę z pandemią województwo wydaje teraz setki milionów złotych. „W tej sytuacji nikt się nie zastanawia, czy te środki zostały wygenerowane przez Warszawę, Siedlce, Radom, Płock czy Ostrołękę, ważne, że dystrybuowane są równomiernie, a co do tego nie mamy żadnych wątpliwości" – mówi wójt Izabelina oraz podkreśla, że na podziale Mazowsza ucierpią samorządy. „Dzielenie regionu oznacza zamieszanie oraz przerwanie wielu kluczowych inwestycji realizowanych przez kilka jednostek samorządu terytorialnego, jak remonty dróg czy skrzyżowań, które teraz powstają w efekcie porozumienia. Dla części z nas skutkiem byłby po prostu brak finansowania wielu istotnych zadań, bo nowe województwo dookoła Warszawy będzie miało… 300 mln zł budżetu" – uważa Dorota Zmarzlak.

W młodzieży budzi się bunt

Młodzi też nie chcą podziału. O porzucenie prac nad tym pomysłem zaapelowali do rządzących radni Młodzieżowego Sejmiku Województwa Mazowieckiego. Wskazują, że konsekwencje takiej decyzji odczuliby wszyscy Mazowszanie, również młodzi. „Podział województwa obecnie to byłaby pomyłka z katastrofalnymi skutkami dla całego Mazowsza. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich skutków, ale dotkną one negatywnie na pewno każdego obywatela naszego regionu" – czytamy w ich stanowisku.

Zdaniem marszałka Adama Struzika idea dzielenia regionu to wręcz łamanie praw obywatelskich. A działania te w konsekwencji mogą dotknąć wszystkie jednostki samorządu. „Niech się nie wydaje radnym gminnym, powiatowym, wojewódzkim w całym kraju, że zamach na Mazowsze dotknie tylko radnych mazowieckich. Zostaliśmy wybrani przez społeczeństwo na pięć lat. Jeżeli niezgodnie z polską konstytucją i prawami wyborczymi przerwie się kadencję jakiegokolwiek samorządu, to doprowadzi się do sytuacji, że są łamane podstawowe prawa obywatelskie. I to w Europie zostanie dostrzeżone. To będzie kolejny kamyczek do lawiny, że w Polsce naruszana jest samorządność" – powiedział podczas debaty w Izabelinie marszałek Adam Struzik. Zaznaczył też, że podział to fundamentalna sprawa z punktu widzenia każdego samorządowca, każdego radnego w kraju.

Obecnie budżet Mazowsza wynosi ponad 3 mld zł. Po podziale województwa Mazowsze Regionalne miałoby na utrzymaniu ¾ obecnych dróg oraz ½ szpitali i placówek kulturalnych. Z wyliczeń urzędu marszałkowskiego wynika, że ponad 60% obecnego budżetu jest przeznaczanych właśnie na te cele. Te pieniądze wypracowuje w dużej mierze stolica i otaczające ją powiaty. Po podziale to nowe regionalne województwo miałoby zaledwie ponad 270 mln zł dochodów, a wydatki na poziomie 1,3 mld zł. ●

NIEKTÓRE KONSEKWENCJE PODZIAŁU MAZOWSZA:

- podwójna administracja, podwójny wzrost kosztów jej utrzymania, w ramach reorganizacji administracji jej dezorganizacja
- dezorganizacja transportu publicznego i pracy wielu instytucji i jednostek samorządu terytorialnego
- wstrzymanie funduszy unijnych na minimum dwa lata dla obu województw
- brak pieniędzy na dofinansowanie programów wsparcia dla przedsiębiorców, działkowców, sołectw, OSP, KGW
- brak pieniędzy dla instytucji kultury, szpitali, bibliotek
- ogólny chaos i zamieszanie kompetencyjne

PRZYPISY

[1] Konferencja odbyła się 23.10.2020 w Izabelinie.
[2] B. Dobrzyńska, *Radni za podziałem województwa*, mojradom.pl, 28.10.2020.
[3] Z. Kossakowski, *Wywiad z Radnym Sejmiku Mazowieckiego Wojciechem Zabłockim*, zyciestolicy.com.pl, 27.10.2020.
[4] mazovia.pl/aktualnosci.
[5] mazovia.pl/aktualnosci.
[6] A. Kłopotowski, *Radni sprzeciwiają się podziałowi województwa mazowieckiego*, bialystok.wyborcza.pl, 26.10.2020.

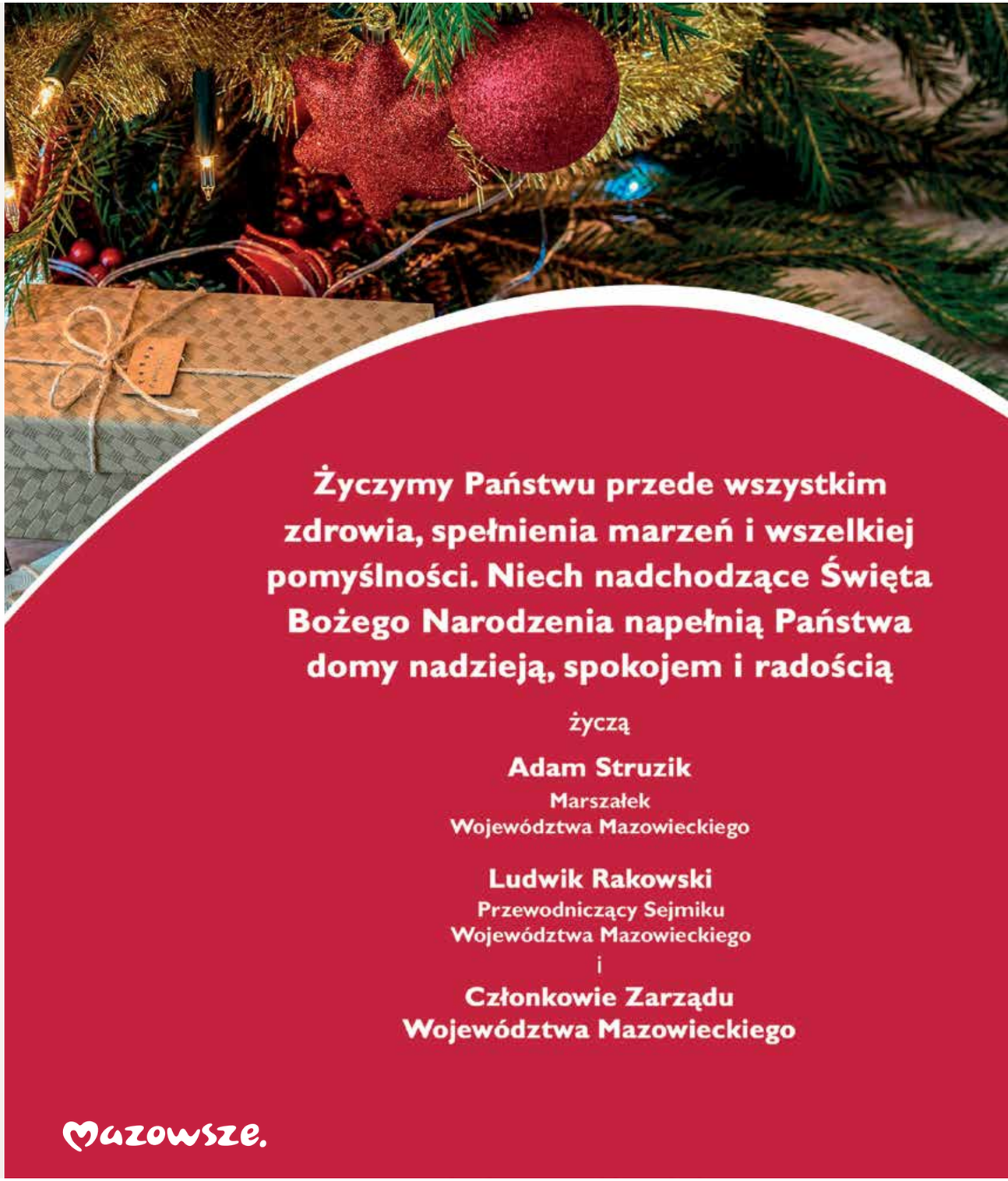

Nasz blok o codzienności dawnej Warszawy w numerze 9-10/2020 STOLICY spotkał się z bardzo dużym zainteresowaniem. Kontynuujemy go w tym numerze, polecając uwadze Czytelników kolejne artykuły o różnych aspektach zwykłego życia dawnych warszawiaków!

„Biały sport” warszawski

Robert Gawkowski

Nasza tenisistka Iga Świątek sprawiła, że wzrosło zainteresowanie tenisem ziemnym. Także jego historią. Dlatego postanowiliśmy napisać o pionierach „białego sportu” w Warszawie i o tenisowych sekcjach w czasach II Rzeczypospolitej

Początki warszawskiego tenisa sięgają końca XIX w. Rozgrywano wówczas „partyjki” tenisowe, bardziej dla zabawy niż dla sportu. Śmiało można uznać, że ówczesny tenis tym się różnił od dzisiejszego, czym granie na plaży w „kometkę” różni się od wyczynowego badmintona.

Dla nielicznych entuzjastów „białego sportu” wydano w Warszawie w 1896 r. książeczkę *Lawn Tennis i jego zasady*. Dwa lata później zrobiono z niej użytek, organizując według przepisów pierwszy w Warszawie turniej tenisowy. Grano na terenie Doliny Szwajcarskiej, która była mekką warszawskiego łyżwiarstwa i kojarzyła się raczej z Warszawskim Towarzystwem Łyżwiarskim. Pierwszy turniej wygrał hrabia Maurycy Zamoyski – wkrótce prezes łyżwiarzy.

W tym czasie w Warszawie istniały już towarzystwa: wioślarskie (od 1878), cyklistów (1886) i wzmiankowane łyżwiarskie (1893). Sportowa rywalizacja nie znajdowała jeszcze powszechnego zrozumienia, tak więc tenisiści należeli w syrenim grodzie do sportowych pionierów. Dla porównania dodajmy, że pierwsze rozgrywki w piłkę nożną zaczęły się w Warszawie 10 lat później, a pierwszy podręcznik *Football, gra w piłkę nożną* wydrukowano w 1907 r.

Warszawscy tenisiści doczekali się wybudowania pierwszych pięciu betonowych kortów na terenie Agrykoli w 1908 r. Ich włodarzem stało się Warszawskie Koło Sportowe, czujące się odpowiedzialne za cały sport w Warszawie, a szczególnie za wychowanie fizyczne młodzieży. Tenis jednak należał do wyjątków, bo grali w niego głównie dorośli finansiści i arystokraci. Jeśli młodzież była w tej sekcji potrzebna, to po to, by starsi panowie mieli sparingpartnera, z którym mogli wygrać.

Korty WLTK z widocznym w tle domkiem klubowym, 1934 r.

Zdjęcia: NAC, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego

Edward Kleinadel był pierwszym tenisistą z Warszawy osiągającym sukcesy na kortach zagranicznych, 1916 r.

Takim sparingpartnerem był kilkunastolatek mieszkający w zamożnej kamienicy w Alejach Jerozolimskich, Edward Kleinadel. Uczył się w gimnazjum E. Konopczyńskiego, a rodzice wspierali go dodatkowo w nauce tenisa. Chłopak szybko robił postępy. Latem 1911 r. 15-latek wyjechał z rodzicami do bawarskich kurortów i tam, w Langfurth, niespodziewanie zwyciężył tenisowy turniej dla juniorów. Sukces zdopingował młodego Edwarda do dalszych, solidnych treningów. Wkrótce Kleinadel okazał się przeciwnikiem „zbyt dobrym” dla starszych panów. Był szybszy, nieszablonowy i ambitny. Nic dziwnego, że w 1912 i 1913 r. wygrał silnie obsadzone turnieje w Krakowie.

Gdy w 1914 r. Edward Kleinadel skończył naukę gimnazjalną, ponownie pojechał z rodzicami na wakacje do uzdrowiska – tym razem do Karlsbadu. Wziął udział w turnieju i sensacyjnie go wygrał, w finale pokonując faworyzowanego i utytułowanego, starszego o sześć lat Niemca Heinricha Kleinschrotha. Zaraz potem na młodego Polaka posypały się zaproszenia startu w ważnych turniejach tenisowych.

Pierwszy w Warszawie turniej tenisowy rozegrano w 1898 r. na terenie Doliny Szwajcarskiej

Niestety, czas dla sportu był niedobry, latem 1914 r. wybuchła I wojna światowa. W Warszawie gazety pisały o wojnie, a nie o sporcie, i mało kto mógł docenić talent rodaka.

Tenis śmietanki towarzyskiej

Wojna nie sprzyjała rozwojowi sportu. Warszawskie Koło Sportowe traciło na znaczeniu, a betonowe korty na Agrykoli marniały z każdym rokiem. W 1918 r. grupa zwolenników tenisa, z braćmi Janem, Jerzym i Bronisławem Kowalewskimi na czele, wynajęła podniszczone korty z zamiarem przeistoczenia ich w nowoczesny ośrodek tenisowy. Z pozoru wyglądało to na szaleństwo. Kraj był zniszczony przez wojnę, niepodległa Rzeczpospolita rodziła się w bólach, a w sklepach obowiązywały kartki na ziemniaki i mąkę. Skąd wziąć pieniądze na odnowienie tenisowego ośrodka?

Otóż w 1916 r. Jerzy Kowalewski wziął ślub z panną Józefiną z domu Kronenberg [o Józefinie Róży Kowalewskiej z d. Kronenberg pisała Agata Małolepsza w numerze 5/2020 STOLICY – red.]. Panna młoda wniosła w posagu bajeczną fortunę. Dodajmy, że pani Kowalewska była zakochana nie tylko w mężu, lecz także w tenisie. Miała też talent i w latach 20. osiągnęła w „białym sporcie” na szczeblu krajowym pewne sukcesy.

Tymczasem na uratowanych z ruiny sześciu kortach na Agrykoli grano tenisowe mecze, chwaląc się w sprawozdaniu, że w 1918 r. skorzystało z nich prawie tysiąc osób. Zapewne rosła liczba nie tylko użytkowników, lecz również poziom. Wiosną 1920 r. młoda ojczyzna zaczęła przygotowywać się do pierwszego startu reprezentacji Polski na igrzyskach olimpijskich. Z Warszawy na olimpiadę mieli wyjechać: Jerzy Kowalewski i Andrzej Miziewicz (jako trenerzy), Edward Kleinadel oraz Jadwiga Żuchowska. Oprócz warszawian narodową ekipę tworzyli Wanda Nowak (przyszła Dubieńska, córka premiera) oraz Librowicz, Polak z Wiednia (co do którego były wątpliwości, czy na pewno jest obywatelem Polski). Zanim rozwiązano ten ostatni problem, wyjazd polskiej ekipy został odwołany z powodu niepokojącego zwrotu w wojnie polsko-bolszewickiej.

Większość członków tej polskiej niedoszłej reprezentacji znalazła się w 1921 r. wśród założycieli Warszawskiego Lawn-Tennis Klubu (WLTK), którego siedzibą były właśnie dawne korty na Agrykoli. Współzałożycielami, obok braci Kowalewskich i Józefiny z domu Kronenberg, byli Edward Kleinadel, książę Włodzimierz Czetwertyński, jego syn Stanisław i hrabianka Sobańska.

Korty WLTK piękniały z każdym rokiem. Betonowe boiska zniknęły, a w ich miejsce wybudowano sześć ceglanych kortów, cały dzień tętniących tenisowym życiem. Ten przylegający do parku Łazienkowskiego teren otoczono żywopłotem. W 1923 r. bogaty klub wystawił

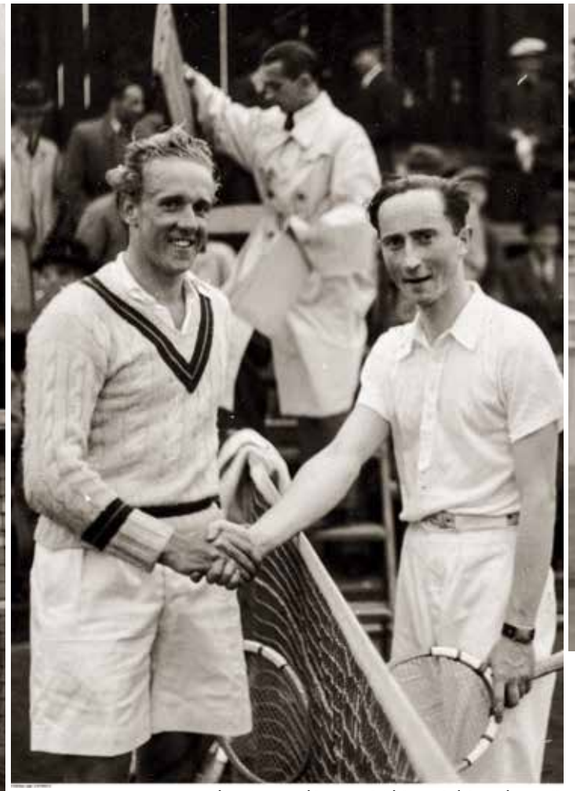

Adam Baworowski po przyjeździe z Wiednia grał w Legii, z prawej Jerzy Majewski, Warszawa 1938 r.

Jadwiga Jędrzejowska, największa gwiazda przedwojennego warszawskiego tenisa, na kortach Legii, 1935 r.

sobie przytulny domek klubowy, z gustowną werandą. Możliwość obejrzenia gwiazd tenisowych, napicia się dobrej kawy w kawiarni na werandzie oraz otarcia o arystokratyczne towarzystwo powodowały, że korty WLTK stały się popularnym miejscem w stolicy.

Ten pierwszy tenisowy klub w Warszawie miał na swym koncie sporo sukcesów sportowych. W pierwszych Mistrzostwach Polski w 1921 r. zwyciężali: Jadwiga Poradowska (z d. Żuchowska), Edward Kleinadel i Jerzy Kowalewski, w latach 1925-1926 sukcesy odnosił Stanisław Czetwertyński. WLTK w 1927 r. zdobył też pierwszy raz drużynowe mistrzostwo Polski, powtarzając ten wyczyn jeszcze kilka razy. W latach 30. WLTK nie dominował już na krajowych kortach, ale nadal był jednym z najsilniejszych klubów. Tradycyjnie wśród członków klubu można było znaleźć wielkie nazwiska, były gwiazdy finansjery, sportu, wszelkiej maści celebryci. Z sukcesami występowała tu córka magnata przemysłowego Elżbieta Lilpopówna, zdobywczyni złotego medalu olimpijskiego dyskobolka Halina Konopacka (pod nazwiskiem męża ministra jako Matuszewska), aktor Igo Sym. Klub wychował też nadzieję polskiego tenisa Czesława Spychałę, a także tak dobrych tenisistów, jak: Eugeniusz Kruszewski, Andrzej Tarnowski czy Anna Posseltówna.

Wielki rywal zza miedzy i inne kluby

Na przełomie lat 20. i 30. dominacja WLTK zaczęła słabnąć, a to głównie z powodu sąsiada zza miedzy – sekcji tenisowej WKS Legia, działającej od 1925 r. Pod koniec lat 20. po drugiej stronie ulicy Myśliwieckiej Legia rozpoczęła budowę nowoczesnych kortów tenisowych, które od 1930 r. służyły do rozgrywania prestiżowych turniejów o randze międzynarodowej. W ten sposób przy obu stronach Myśliwieckiej wyrosło w stolicy prawdziwe centrum tenisowe. WLTK miało 6 kortów, Legia – dziesięć. Aż 16 kortów na jednej ulicy! Takiego miejsca mogły nam pozazdrościć inne kraje. Wspomnijmy, że na świecie podziwiano wówczas przygotowania Amerykanów do igrzysk olimpijskich w Los Angeles, bo tam wybudowano 19 kortów w jednym miejscu. Niewiele więcej niż w Warszawie.

Zdjęcia: NAC

16-letni Jurek Gotschalk, nadzieja warszawskiej Legii, 1934 r.

Czesław Spychała, najlepszy tenisista WLTK l. 30. XX w., podczas mistrzostw Warszawy, 1933 r.

Legia nie tylko budowała, lecz także dbała o szkolenie młodzieży tenisowej, co zawsze z wdzięcznością wspominał dziennikarz Bohdan Tomaszewski – w latach 30. utalentowany junior Legii. Inny talent, Kordian Tarasiewicz, po latach opisywał historię tenisa polskiego, trochę w oparciu o swoje wspomnienia. Obaj panowie zgodnie podkreślali, że sekcja tenisowa Legii dbała też o odpowiednie wychowanie młodego sportowca. Uczono dobrych manier. „Chłopcy z Powiśla czy Czerniakowa, którzy trafiali na korty Legii, byli uczeni tego, że wchodząc do klubu, trzeba powiedzieć dzień dobry! To był pierwszy etap tenisowej edukacji" – wspominał jeden z bywalców kortów na Myśliwieckiej.

W tenisowej Legii w 1930 r. ćwiczyło aż 230 tenisistów (podczas gdy u rywala zza miedzy „tylko" 200). Wolno nam domniemywać, że za kilka lat Legia dochowałaby się tenisowej gwiazdy własnego chowu, ale... włodarze klubu i sekcji chcieli już teraz sukcesów na miarę swego imponującego obiektu. Zaczęto więc ściągać z kraju najlepszych tenisistów, co zapewne nie wszystkim się podobało. W tamtych czasach, kiedy obowiązywała zasada czystego amatorstwa i liczyło się przywiązanie do barw klubowych, kaperowanie gwiazd wzbudzało kontrowersję. Dziś spojrzeć można na to z innej strony. Legia wyprzedziła swoją epokę i dawała najlepszym sportowcom warunki treningowe, na jakie zasługiwali.

I tak, po opuszczeniu AZS Poznań w 1930 r. do stolicy przyjechał Ignacy Tłoczyński. Dwa lata później z Łodzi (z ŁKLT) przybyli bracia Maksymilian i Jerzy Stolarow, a w 1933 r. do Legii przystąpił Ernest Wittmann z Samsona-Tarnów. Tego samego roku zakontraktowano supertalent Jadwigę Jędrzejowską z AZS Kraków. O tej tenisistce można by napisać książkę, tu przypomnijmy, że na kortach walczyła ponad 40 lat! W 1937 r. grała w finale Wimbledonu. Dwukrotnie, w 1936 i 1937 r., zwyciężała w plebiscycie na najlepszego sportowca II RP. Śmiało można powiedzieć, że dla sportu II RP była tym, kim Irena Szewińska w epoce PRL.

Jadzia przybyła do Warszawy wraz z siostrą, Zofią, też tenisistką Legii, grającą także w... filmach. W 1936 r., kiedy kręcono film *Jadzia*, opowiadający o miłości, na kanwie sportowego życia Jadwigi Jędrzejowskiej, samą sportsmenkę grała Jadwiga Smosarska, a w filmie pokazała się (w scenie gry w tenisa) Zofia Jędrzejowska. Plener do filmu tworzyły korty warszawskiej Legii i WLTK.

W latach 30. tenisowe derby Warszawy między WLTK a Legią były traktowane jak rozgrywki dwóch najlepszych tenisowych drużyn w Polsce. Zainteresowanie tenisem szybko wzrosło. W stołecznych klasach A i B stale grało ok. 10 drużyn. Rzecz jasna, daleko im było do WLTK i Legii, ale każdy z klubów miał swoje ambicje. Zajrzyjmy zatem do tenisowych „kopciuszków". KS Czechowice był klubem z Ursusa, który miał w swojej fabryce jeden kort. W 1938 r. ćwiczyło tu zaledwie 15 tenisistów, a wśród nich: sekretarz klubu, naczelny lekarz fabryki Ursus, główny inżynier fabryki i wiceprezes klubu – czyli elita fabryczna. Kort

tenisowy dla fabrycznego klubu miała też gazownia na Woli, Centralne Warsztaty Samochodowe z ulicy Terespolskiej i zakłady amunicji w forcie Bema.

Sekcja tenisowa AZS Warszawa zrzeszała w 1937 r. ok. 40 sportowców, m.in. Karola Zbyszewskiego, znanego literata, a także Kazimierza Leskiego, w czasie wojny bohaterskiego żołnierza wywiadu polskiego podziemia. Klub walczył o miano trzeciego zespołu Warszawy, a mecze z WLTK nabierały dodatkowego smaku, ilekroć w barwach przeciwnika grała Halina Konopacka-Matuszewska, wcześniej znakomita lekkoatletka AZS.

Warszawska Polonia wzmocniła swą wegetującą wcześniej sekcję tenisową w 1937 r., budując przy Konwiktorskiej cztery korty. W mistrzostwach Warszawy w 1938 r. miała apetyt nawet na trzy pozycje, ale... nie wyszło. Jak enigmatycznie usprawiedliwiano się w klubowym sprawozdaniu: „Nie dopisały kobiety, z powodu przysłowiowej wstydliwości niewieściej". Ogółem w przedwojennej Warszawie funkcjonowało ok. 50 kortów, a „biały sport" uprawiano w 29 klubach. Tenis propagowano także w ośrodkach podmiejskich. W Milanówku, począwszy od 1925 r., odbywał się turniej organizowany przez sekcję tenisową Milanowskiego Towarzystwa Letników. Startowały gwiazdy, a wpisowe do turnieju wynosiło 5 zł. Nieco mniej popularne zawody odbywały się cyklicznie w Skolimowie, we Włochach i wojskowym Modlinie oraz w Podkowie Leśnej.

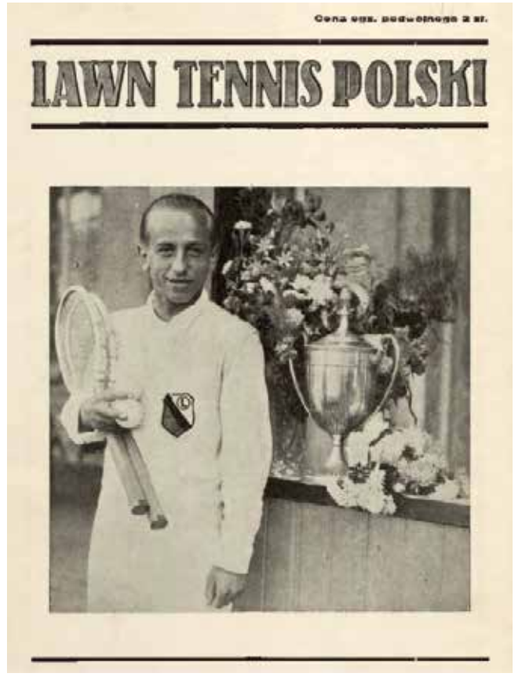

Ignacy Tłoczyński na okładce miesięcznika tenisowego, wydawanego przez znanego wówczas działacza Wiktora Lublinera, 1930 r.

„Biały sport" dla Biało-Czerwonych

Oczkiem w głowie kibiców były mecze międzypaństwowe. W 1925 r. Biało-Czerwoni po raz pierwszy zagrali w Pucharze Davisa. Mecz odbył się na kortach WLTK, przegraliśmy z Anglią 5:0. Nie ma co ukrywać, w pojedynkach z innymi krajami faworytami nie byliśmy. Jednak z wolna zaczynało się to zmieniać.

W przedwojennej Warszawie funkcjonowało ok. 50 kortów, a „biały sport" uprawiano w 29 klubach

W 1930 r. gościliśmy w Warszawie zespół Węgier. Na łamach miesięcznika „Lawn Tennis Polski" można było przeczytać: „Sekcja tenisowa WKS Legia wybudowała na ten mecz śliczną werandę z jednopiętrową trybuną dla publiczności, która niestety zawiodła prawie zupełnie, przybywając w małej ilości na te z wszech miar piękne i interesujące zawody". A szkoda, bo tym razem mecz niespodziewanie wygrali Polacy 3:2. Po meczu kapitan tenisistów węgierskich skomplementował klimat, w jakim przyszło grać Madziarom: „W żadnym kraju i na żadnym turnieju nie przyjmowano nas tak serdecznie jak w Waszej pięknej stolicy".

Na następne spotkania Biało-Czerwonych przychodziło już więcej kibiców, a tenis stawał się coraz piękniejszy. Rok później w stolicy odnieśliśmy pierwsze zwycięstwo w Pucharze Davisa. Z Rumunią wygraliśmy 3:2. Tego samego roku w Wimbledonie zadebiutowała Jadwiga Jędrzejewska i choć odpadła szybko, to przecież wykazała, że ma duży talent.

Korty AZS Warszawa w parku Skaryszewskim, 1926 r.

NAC

Prasowa reklama turnieju w Milanówku, sierpień 1930 r.

Do najważniejszych meczów reprezentacji Polski należał pojedynek w Pucharze Davisa z Niemcami w 1939 r. Według wielu był on najlepszym naszym meczem! Publiczności był nadkomplet i tyle samo sportowych emocji. Nie chodziło nawet o to, że nasi dwaj tenisiści byli zawodnikami Legii (Ignacy Tłoczyński i Adam Baworowski). Ważnym był kontekst tego majowego meczu – Hitler już wygrażał Polsce, a nad Europą wisiała atmosfera wojny. W dodatku Adam Baworowski, urodzony w Wiedniu arystokrata o korzeniach polsko-niemieckich, po Anschlussie Austrii wyemigrował do Polski. Dla kibiców było jasne, po której stronie stanął.

Reklama meczu międzynarodowego z Japonią, wygranego 3:2, sierpień 1930 r.

Polska mecz przegrała 2:3, ale nikt z kibiców nie był zawiedziony. Biało-Czerwoni tenisiści pokazali lwi pazur i walczyli z Niemcami jak równy z równym.

Wzmiankowany Adam Baworowski pod koniec sierpnia 1939 r. rozegrał ostatnie swoje mecze jako reprezentant II RP. Wystąpił w Akademickich Mistrzostwach Świata w Monako i doszedł aż do finału. Wolno domniemywać, że było to jedno z ostatnich międzynarodowych spotkań w wykonaniu sportowców polskich przed wybuchem wojny.

Różnie potoczyły się wojenne losy warszawskich tenisistów. Baworowski podpisał volkslistę. W 1942 r. upomniał się o niego Wehrmacht. Trafił pod Stalingrad i tam zginął pod koniec 1942 r. Jego klubowy kolega Jurek Gottschalk był żołnierzem AK (ps. „Jur"). Zginął we wrześniu 1944 r. w Powstaniu Warszawskim. Jadwiga Jędrzejowska – najlepsza polska tenisistka – dostała na początku okupacji ofertę od króla Szwecji, aby wyemigrować na czas wojny. Odmówiła. Po wojnie nie reprezentowała już barw stołecznego sportu. Ignacy Tłoczyński wziął udział w Powstaniu Warszawskim i został ranny. Wzięty do niewoli, trafił do obozu jenieckiego pod Salzburgiem, gdzie przebywał razem z Czesławem Spychałą. Po wyzwoleniu obozu przez aliantów obaj zaciągnęli się do korpusu gen. Andersa i po wojnie zostali na emigracji, podobnie jak Halina Konopacka-Matuszewska, klubowa deblowa partnerka Czesława Spychały. Na emigracji został też Ernest Wittmann. Kiedy zaczęła się wojna, był w Londynie i pewnie dlatego nie dosięgło go piekło Holokaustu. W latach 80. uzyskał wraz z żoną audiencję u papieża Jana Pawła II – w salach papieskich w Watykanie, z papieżem, który był fanem sportu, rozmawiali także o warszawskim tenisie.

Po zakończeniu wojny warszawski tenis, ten stworzony w II RP, niemal przestał istnieć. Wszystko trzeba było zacząć od początku.

dr Robert Gawkowski (ur. 1962) – historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, autor kilku książek o historii sportu, m.in. *Futbol dawnej Warszawy* (2014), a także artykułów na łamach STOLICY; członek zarządu Towarzystwa Miłośników Historii

Zdrowie **Warszawy**

Adrian Sobieszczański

W końcu lat 30. w Warszawie na pacjentów czekały 23 samodzielne przychodnie i ok. 50 prywatnych lecznic, w tym akuszeryjne, kardiologiczne, weneryczne czy dermatologiczne. Dodatkowo funkcjonowało całe mnóstwo gabinetów prywatnych: kardiologów, laryngologów, ginekologów, okulistów, dermatologów, psychiatrów, neurologów czy przyrodoleczników, ale... tylko 23 prywatne gabinety stomatologiczne

Wcześniej, u progu niepodległości, zły stan warszawskiej służby zdrowia był w dużej mierze konsekwencją trwającej cztery lata wojny. Warszawa – duże miasto na zapleczu toczących się walk – od początku I wojny światowej była zmuszona do przyjmowania rannych żołnierzy. Brakowało miejsc w szpitalu wojskowym w Zamku Ujazdowskim i ratowano się łóżkami szpitalnymi w innych warszawskich placówkach.

We wrześniu 1914 r. na potrzeby rannych żołnierzy przeznaczono budynki Suworowskiego Korpusu Kadetów w Alejach Ujazdowskich. W połowie 1915 r. można tu było ulokować prawie 2000 pacjentów. Prócz tego blisko 30 szpitali funkcjonowało w wynajętych obiektach prywatnych, np. w pałacu Branickich na Frascati. Takie szpitale działały najczęściej pod auspicjami Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej, a lekarze i personel medyczny wykonywali pracę bezinteresownie. Istotnym problemem czasu wojny były choroby zakaźne, szalejące na skutek przemieszczania się mas ludności i złych warunków sanitarnych. Skierowanie służby zdrowia na tory wojenne dało też rezultat w postaci powiększenia się liczby chorych cywilów.

Dekretem Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego z 3 stycznia 1918 r. służba zdrowia została przydzielona Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Kwestie dobroczynności społecznej i ubezpieczeń przeszły w kompetencje Ministra Opieki Społecznej i Ochrony Pracy. W kwietniu tego samego roku Ministrem Zdrowia Publicznego, Opieki Społecznej i Ochrony Pracy został Witold Chodźko, a w styczniu 1919 r. rząd, na którego czele stał Ignacy Jan Paderewski, powołał do życia Ministerstwo Zdrowia Publicznego, w którym tekę ministra otrzymał wywodzący się z krakowskiego środowiska lekarskiego Tomasz Janiszewski.

Pierwsze lata niepodległości nie przyniosły w Warszawie większych zmian. Wpływ na to miała tocząca się wojna polsko-rosyjska oraz epidemie – grypy hiszpanki, duru plamistego, brzusznego i szkarlatyny. Podjęta w latach 20. akcja odwszawiania ludzi, dezynfekcji lokali, a przede wszystkim zakrojone na szeroką skalę szczepienia pozwoliły przejąć kontrolę nad epidemiami. Zmorą pozostawała gruźlica, z którą miasto usilnie starało się walczyć. W Otwocku powstał ośrodek przeciwgruźliczy, powołano też Towarzystwo Przeciwgruźlicze.

W 1919 r. został wydany dekret o ubezpieczeniach na wypadek choroby (w zaborze pruskim takie ubezpieczenia istniały już wcześniej). W Warszawie, podobnie jak w innych miastach, w latach 20. zaczęły funkcjonować kasy chorych, do których należeli robotnicy, rzemieślnicy, nauczyciele, urzędnicy i służba domowa. Współfinansowanie składek przez pracodawcę sprawiało, że nie był to wydatek obciążający. Składka w wysokości 6,5% zarobków dawała możliwość korzystania z opieki medycznej, prawo hospitalizacji czy uzyskania zasiłku chorobowego przez 26 tygodni od przejścia na zwolnienie lekarskie. Pracownik z rodziną dostawał 60% wynagrodzenia, zaś pozostali zaledwie 40%. Kobiety w stanie błogosławionym otrzymywały pełną pensję przez osiem tygodni od 14 dnia przed planowanym porodem.

Karetka konna i samochód sanitarny Warszawskiego Pogotowia Ratunkowego, 1926 r.

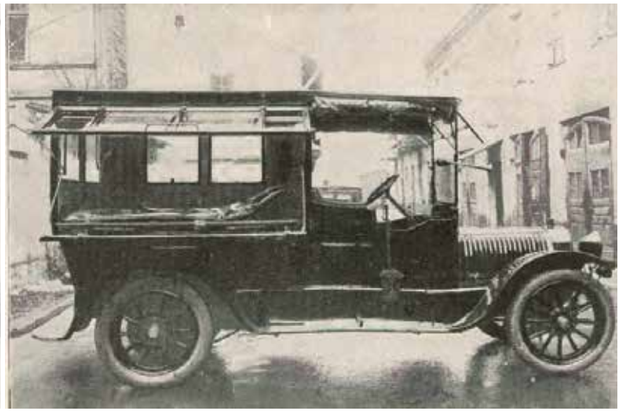

Zdjęcia: *XXXV lat Towarzystwa Doraźnej Pomocy Lekarskiej w Warszawie*, Warszawa 1932 / MBC, Archiwum Państwowe w Warszawie

Ośrodek Zdrowia i Opieki przy ul. Puławskiej 91, róg Dolnej, 1938 r.

Więcej dla lekarzy

Zjawisko powszechnego niezadowolenia ze służby zdrowia i ograniczony dostęp do specjalistów towarzyszą nam od dziesięcioleci, nie były też obce mieszkańcom przedwojennej Polski. Brakowało lekarzy i personelu medycznego – ich wykształcenie zajmowało lata. W teorii ubezpieczony miał możliwość wyboru lekarza, w rzeczywistości było o to znacznie trudniej. Chociaż w powszechnej świadomości lekarz to zawód dobrze opłacany, przed wojną przetaczała się dyskusja o wynagrodzeniach tej grupy zawodowej. W Polsce w latach 20. na jednego lekarza przypadało ponad pół tysiąca pacjentów, co na tle europejskich państw wyglądało bardzo niekorzystnie. Zarobki lekarzy, którzy mieli podpisaną umowę z kasą chorych, zależały od liczby członków konkretnej kasy, ta zaś była uzależniona od liczby mieszkańców danego miasta. W kasach na prowincjach lekarz zarabiał zaledwie 100 zł i ratował się wizytami domowymi. Lekarze pracowali w kilku miejscach jednocześnie. Inaczej wyglądała sytuacja w kasach, w których było powyżej 1000 pacjentów. Na tym tle Warszawa wypadała zdecydowanie lepiej, a pracujący w stołecznej kasie lekarz mógł zarobić ok. 900 zł. Pojawiały się głosy, że lekarz mający rodzinę powinien zarabiać dwa razy tyle, wielu lekarzy w II RP nie zarabiało jednak więcej niż 300 zł – czyli mniej, niż wynosiła pensja urzędnika państwowego średniego szczebla.

Szpital Kliniczny im. prof. dr. M. Michałowicza, sala pacjentów, l. 30. XX w.; fot. Czesław Olszewski

Kasy chorych prowadziły swoje zakłady opieki medycznej, utworzyły także swego rodzaju „dekalog", nakazujący m.in.: „szanować instytucję Kasy Chorych, szanować urzędnika, załatwiać sprawy szybko i grzecznie oraz szanować zalecenia lekarzy". Ubezpieczony dostawał osobistą książeczkę, która była legitymacją ubezpieczeniową, a także rejestrem wykonanych usług medycznych oraz dowodem opłacania składek. Oddziały Kasy Chorych mieściły się w różnych punktach Warszawy. W latach 1924-1925 przy ulicy Mariańskiej powstał gmach Kasy Chorych

m.st. Warszawy, zaprojektowany przez Henryka Juliana Gaya. W 1928 r. na skrzyżowaniu ulic Wolskiej i Działdowskiej wzniesiono budynek V Oddziału Kasy Chorych m.st. Warszawy, gdzie mieściła się także przychodnia, apteka oraz kryty basen. W 1934 r. w wyniku reformy systemu ubezpieczeń na mocy ustawy z 1933 r. powstał Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Tym samym zakończył się 14-letni okres istnienia kas chorych, jednak jak dotąd, mimo swoich wad, są one uznawane za największe osiągnięcie systemu ochrony zdrowia w II Rzeczypospolitej.

Do kogo z ciążą, do kogo z syfilisem?

W latach 20. w Warszawie, podobnie jak w innych miastach, pacjenci mogli korzystać z szeregu przychodni, czyli Ośrodków Zdrowia i Opieki. Służyły one jako miejsca udzielania porad lekarskich, ale prowadziły też akcje informacyjne i wychowawcze w celu upowszechniania zasad higieny i zapobiegania chorobom.

Ośrodki zdrowia rozlokowano po całej Warszawie. Pierwsza Miejska Stacja Higieny Zapobiegawczej w Warszawie powstała w 1924 r. na Mokotowie, przy ul. Puławskiej 91. Ośrodek zorganizowano z pieniędzy Fundacji Rockefellera, a dofinansowywany był on przez Kasę Chorych m.st. Warszawy i magistrat. W ośrodku działała przychodnia przeciwgruźlicza, przeciwalkoholowa, przeciwweneryczna, a także poradnia dla matek i dzieci. W latach 20. z ośrodka korzystała jedna trzecia mieszkańców Mokotowa. Do 1929 r. wybudowano tu dodatkowo łaźnię i pralnię. W 1928 r. na pacjentów czekało w ośrodku dwóch pediatrów, dwóch fizjologów, jeden okulista i jeden psychiatra. Mokotowska stacja była też miejscem szkolenia praktycznego Państwowej Szkoły Higieny, pracowały tu także słuchaczki warszawskiej szkoły pielęgniarskiej – okres praktyki trwał ok. 10 tygodni.

Specjalistyczne poradnie w Warszawie oznaczono literami, np. C – dla ciężarnych, E – przeciwwenerycznе, U – przeznaczane dla najuboższych. Takie ośrodki tworzono w różnych miejscach i dzielnicach, m.in. przy ul. Żelaznej 56, Spokojnej 15, Grochowskiej 339 czy Foksal 18. Zakład Ginekologiczno-Położniczy prowadzony przez Towarzystwo Wspierania Biednych działał przy ul. Twardej 35, a Lecznica „Macierzyństwo" przy ul. Hożej 76.

W stolicy istniały też lecznice prowadzone przez rozliczne instytucje społeczne, np. Lecznica św. Antoniego przy ul. Topiel 14, koordynowana przez Towarzystwo Opieki nad Chorymi Niezamożnymi, czy Szpital Ewangelicki przy ul. Karmelickiej 10. W końcu lat 30. w Warszawie na pacjentów czekały 23 samodzielne przychodnie, w tym Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci przy ul. Leszno 11 czy Poradnia Higieny Kobiecej przy ul. Brzozowej 2/4. W 1939 r. działało ok. 50 prywatnych lecznic, w tym akuszeryjne, kardiologiczne, weneryczne czy dermatologiczne. Dodatkowo funkcjonowało całe mnóstwo gabinetów prywatnych: kardiologów, laryngologów, ginekologów, okulistów stomatologów, dermatologów, psychiatrów, neurologów czy... przyrodoleczników. Sporą część prywatnych gabinetów prowadzili lekarze pochodzenia żydowskiego. Mało było kobiet lekarzy. Warto nadmienić, że kobiety lekarze pracujące w państwowych zakładach zarabiały 70% tego, co ich koledzy po fachu.

W latach 20. na łamach prasy można było znaleźć ogłoszenia akuszerek felczerek. W wielu przypadkach niezamożnym kobietom udzielały one porad darmowych. Wśród zakładów tej specjalności powodzeniem cieszył się gabinet Julii Paradowskiej przy ul. Żurawiej 7, który otworzony został w 1907 r., kiedy to Warszawa, jako prawie milionowe miasto, cierpiała na brak tego typu instytucji. Zakład Paradowskiej powstał z inicjatywy prywatnej i był bardzo nowoczesny. Kobietom gwarantowano komfort, wygodę, a przede wszystkim higienę. Każda pacjentka mogła liczyć na osobny pokój, choć ich standard dostosowywano do zamożności korzystających. Celem Paradowskiej było zapewnienie kobietom warunków domowych. Do dyspozycji pacjentek pozostawali lekarze, dozorczynie, pielęgniarki i akuszerki. W placówce urządzono nawet salkę operacyjną. W zakładzie Juli Paradowskiej panie mogły przebywać zarówno przed, jak i po rozwiązaniu.

Klinika protetyczna, sala przyjęć, okres międzywojenny

Kwesta na rzecz Pogotowia Ratunkowego, naprzeciwko Zachęty, 1933 r.

Lekarz pogotowia udziela pomocy zranionemu podczas zabawy chłopcu, 1929 r.

Wyjazd karetki do wypadku z siedziby pogotowia przy ul. Leszno 58, lata międzywojenne

Zdjęcia: NAC, MBC, Polona

Gdzie w nagłych wypadkach?

Od końca XIX w. warszawiacy mogli liczyć na pomoc Warszawskiego Pogotowia Ratunkowego, założonego przez hr. Przezdzieckiego. Stacja pogotowia, obsługiwana przez kilku lekarzy, intendenta i woźnicę, została otwarta 22 lipca 1897 r. na Okólniku, w dawnym tatersalu. W dwudziestoleciu pogotowie udzielało doraźnej pomocy w nagłych i często nieszczęśliwych wypadkach. Lekarzem pogotowia mógł zostać lekarz po trzech latach od skończenia studiów na wydziale lekarskim i po odbyciu dwuletniej praktyki w szpitalu, w tym jednego roku na wydziale chirurgicznym. Lekarz kandydat do pracy w pogotowiu jeździł przez trzy miesiące do wypadków z lekarzem dyżurnym. Na stacji pogotowia pierwszej pomocy udzielał lekarz dyżurny – w jednej z sal z wejściem wprost z ulicy. Chory po udzieleniu pierwszej pomocy mógł wrócić do domu bądź zostać przewieziony do szpitala. Lekarze na miejsce wypadku mogli jechać także po otrzymaniu zgłoszenia telefonicznego.

Od 1903 r. pogotowie mieściło się przy ul. Leszno 58. Najczęściej wyjeżdżało ono na miejsca katastrof budowlanych, wypadków samochodowych, pożarów, bójek czy... zatruć grzybami. W 1919 r., na wieść o walkach pod Lwowem, załoga pogotowia w porozumieniu z władzami wojskowymi i sanitarnymi przystąpiła do tworzenia lotnych oddziałów chirurgicznych. Oddział wyposażony w narzędzia chirurgiczne nosił urzędową nazwę „Oddziału lotnego chirurgicznego Pogotowia Ratunkowego w Warszawie".

Do kogo po piękny garnitur?

Chyba najbardziej znanym przedwojennym stomatologiem był doktor Leopold Lawina, ojciec Basi, z kultowego serialu *Dom*, w roli którego wystąpił Stanisław Zaczyk. Stomatologia jako gałęź medycyny jest dość młoda. Za taką została uznana dopiero w 1898 r. i w tym właśnie roku ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Dentystycznego". Model kształcenia stomatologów w zaborze rosyjskim był najgorszym z wszystkich trzech zaborów. U zarania niepodległości sytuację miał uregulować szczegółowy program studiów, opracowany przez prof. Antoniego Cieszyńskiego. Ustalono wówczas program nauczania. Przyszli stomatolodzy mieli się uczyć cztery lata, a studia kończyli egzaminem państwowym. Mieli też możliwość specjalizacji w ramach dwuletnich studiów zakończonych egzaminem specjalistycznym.

W 1920 r. powołano w Warszawie Państwowy Instytut Dentystyczny, kształcący dentystów na poziomie wyższym. W 1933 r. uczelnię tę przemianowano na Akademię Stomatologiczną. Instytut funkcjonował w trzech lokalizacjach: przy ul. Marszałkowskiej 116 i 151 oraz na pl. Małachowskiego 2. Ciekawostką jest, że w 1939 r. w całej Warszawie funkcjonowały zaledwie... 23 prywatne gabinety stomatologiczne.

Okładka albumu *Dwadzieścia pięć lat Pogotowia Ratunkowego w Warszawie 1897-1922*

Organizacja Wydziału Zdrowia Publicznego w Warszawie, 1929 r.

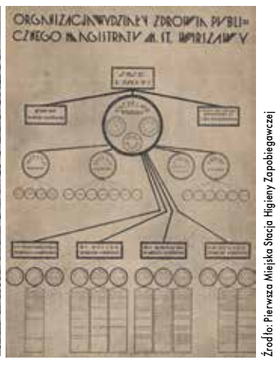

Źródło: Pierwsza Miejska Stacja Higieny Zapobiegawczej

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury, współtwórca projektu Warszawy Historia Ukryta

Kawiarnie, w których nikt jeszcze **nie dostał** kawy

Jarosław Górski

Legenda warszawskich przedwojennych kawiarni byłaby niepełna bez opowieści o lokalach, do których smakosze małej czarnej woleli się nie zbliżać. Można w nich było dostać kulkę w łeb lub kilka ciosów nożem. Nawet stali bywalcy, urzędujący tu jak w bandyckim biurze, nie mogli być pewni dnia ani godziny. Kawiarni takich – na Woli, Powązkach, Pradze, Mokotowie, Targówku czy Powiślu – było niemało

Był 7 lutego 1930 r., dochodziła godz. 20. W kawiarni Wincentego Studzińskiego przy ul. Targowej 27, znanej wśród praskiego półświatka jako U Wicka Wariata, siedziało przy stoliku naprzeciw wejścia pięciu mężczyzn. Byli to przywódcy gangu operującego na bazarze Różyckiego i w okolicach miejskiej rzeźni przy Sierakowskiego – bracia Pawłowscy: Jan i Julian – oraz ich przyboczni: Henryk Wolski, Józef Braun i Czesław Kędzior zwany Kędziorkiem. Po tej stronie Wisły byli znani tak dobrze, że kiedy tylko weszli do lokalu i wezwali Studzińskiego, by złożyć zamówienie, goście kilku sąsiednich stolików, nie dopijając trunków, podnieśli się i bez słowa zniknęli za drzwiami. Wicek Wariat przyniósł wódkę i piwo, bracia pochylili się nad warcabami, pozostali kibicowali im. Nagle wahadłowe drzwi otworzyły się z impetem i do kawiarni weszło dwóch młodych ludzi. Strój, mowa i sposób bycia wskazywały, że są to osobnicy „szemrani”, jednak tu nikt ich nie znał. A i oni z pewnością nie znali Pawłoszczaków, bo nie wycofali się, tylko podeszli do bufetu i zagadnęli gospodarza: „Czy nie było tu Julka Łukaszewskiego? Mamy do niego interes”.

Strzały u Wicka Wariata

Młodszy z braci, Julian, usłyszał. Natychmiast zerwał się ze swojego miejsca, podbiegł do nieznajomych i wyższego z nich powalił jednym ciosem. Niższego próbowali zatrzymać Wolski z Braunem, ale udało mu się wybiec z kawiarni. Krzyczał: „Franek, na pomoc!”. Za chwilę drzwi kawiarni znów się otworzyły i do środka wpadł postawny mężczyzna. Pawłoszczaki i ich „adiutanci” jak na komendę porzucili katowanie powalonego wcześniej nieszczęśnika i zwrócili się ku wejściu. Tego, który właśnie wpadł, znali. Wiedzieli, że on nie będzie z nimi walczyć na pięści. Julian nie czekał na rozwój wypadków. Wyrwał z kieszeni rewol-

Zdjęcia: NAC

wer i wypalił tamtemu prosto w głowę. Trafiony, upadając, podniósł dłoń z rewolwerem, ale nie zdążył wystrzelić. Obaj bracia Pawłowscy zasypali go kulami. Jedna z nich rykoszetem trafiła Juliana Pawłowskiego w nogę.

Człowiek wielu talentów i zajęć

Kiedy po chwili na miejsce zdarzenia przybyła policja, znalazła tylko trupa zaciskającego w dłoni rewolwer. W trakcie śledztwa bardzo szybko ustalono sensacyjny fakt: zabitym był Franciszek Sieczko, jeden z najgroźniejszych bandytów Warszawy. Zresztą nie tylko bandytów. Sieczko jeszcze trzy lata wcześniej był jednocześnie: 1. wywiadowcą policji rozpracowującym warszawski półświatek, a także nielegalne organizacje komunistów; 2. bandytą tak cenionym w półświatku, że powierzano mu zaszczytne stanowisko przewodniczącego dintojry, czyli bandyckiego sądu skazującego złodziei na śmierć za współpracę z policją; 3. cynglem słynnego warszawskiego gangstera Józefa Łokietka, zdzierającego haracze z warszawskich tragarzy; 4. jedną z czołowych postaci bojówki PPS dawna Frakcja Rewolucyjna, partii rozłamowej, która była całkowicie zależna od rządzącego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem i z tego powodu przez socjalistów z PPS zwana BBS; 5. osobistym ochroniarzem marszałka Piłsudskiego; 6. działaczem kilku związków zrzeszonych w Związku Związków Zawodowych, do którego zadań należało pobieranie gigantycznych składek, a opornych lub spóźniających się dyscyplinowano przy pomocy kastetu i pałki, gwałtów na ich żonach i córkach, demolowaniu mieszkań itp.; 7. płatnym mordercą do wynajęcia za skromne 1000 zł. Sieczko osobiście zamordował co najmniej kilkunastu ludzi, a tych, na których wydał zlecenie swoim kompanom, trudno policzyć.

W 1928 r. został dyskretnie wydalony z policji za znęcanie się nad komunistycznymi więźniami, a być może także jako podejrzany o przypadkowe czy też celowe zastrzelenie Franciszka Koryzmy, żandarma pełniącego służbę w ogrodach Belwederu. Jednak przełożeni Sieczki załatwili mu na odchodne koncesję na prowadzenie kawiarni na Mirowie, a on sam postarał się wkrótce o dodatkową pracę: przy pomocy swoich kumpli, niestroniących od używania rewolweru, sprężynowca i kastetu, rozgonił zarząd Związku Zawodowego Flaczarzy i sam został jego prezesem z pensją 5000 zł miesięcznie.

Pomysł na działalność związkową miał prosty: kto chce przygotowywać do sprzedania i sprzedawać wołowe flaki, musi zapłacić bardzo solidną związkową składkę w wysokości kilkudziesięciu lub kilkuset złotych miesięcznie, a w zamian dostanie gwarancję, że nikt w całym mieście nie będzie sprzedawał warszawskiego przysmaku taniej niż 1 zł za kg wypłukanych flaków surowych i 60 gr za niewielką porcję gotowej potrawy. Ten, kto składki nie zapłacił, wkrótce zabierany był z ulicy przez karetkę pogotowia ratunkowego albo przez eleganckie auto ostatniej posługi.

Wkrótce jednak jeden z działaczy prosanacyjnego Związku Związków Zawodowych, w którym zrzeszony był Związek Flaczarzy, Julian Łukaszewski, zaczął domagać się w Zarządzie interwencji w sprawie działalności Sieczki. Co gorsza, agitował wśród flaczarzy, by nie płacili idących w dziesiątki, a nawet setki złotych miesięcznie składek. Sieczko szybko dowiedział się o wszystkim i zapowiedział Łukaszewskiemu zemstę. A Łukaszewski wiedział, że musi postarać się o ochronę. Zapewne za sporą kwotę, a może i za obietnicę udziału w przyszłych składkach flaczarzy uzyskał ją u Pawłoszczaków. Sieczko – powiedzieli mu – rządzi po tamtej stronie Wisły: na Muranowie, w Śródmieściu, Czerniakowie. Tu, na Pradze, nie odważy się wejść im w paradę.

Jednak Sieczko się odważył. W małej bezimiennej kawiarence na Czerniakowie zebrał swoich kompanów i razem z nimi wydali wyrok na Łukaszewskiego. A że dowiedzieli się, iż przesiaduje on teraz U Wicka Wariata na Targowej, wsiedli w taksówkę i natychmiast tam pojechali.

Spelunki i skanseny

O zabójstwie Sieczki, ze względu na ponurą sławę denata, trąbiła cała ówczesna prasa. Publicyści zauważali, że w Warszawie działa całe mnóstwo kawiarni, w których nikt nigdy nie dostał kawy, za to łatwo dostać kulkę lub kilka ciosów nożem. Kawiarnie, o których wszyscy, łącznie z policją, wiedzą, że są siedzibami band i gangów, że załatwia się w nich krwawe bandyckie porachunki, po których już chwilę później nie ma ani śladu: wnętrza są wyczyszczone z krwi, ofiary wywożone za miasto lub wrzucane do Wisły, a sprawców i świadków zdarzenia nie ma. Bandyci, zupełnie się z tym nie kryjąc przed pozostałymi gośćmi, urządzają w takich lokalach posiedzenia dintojry, umawiają się na skoki, rozliczają ze zrabowanych pieniędzy. Kiedy w takim lokalu znajdzie się przypadkowy gość, który wstąpił na małą czarną, bywa zapraszany do bandyckich stolików na libację, za którą potem musi zapłacić. Spróbowałby odmówić!

Najsłynniejsze, rozsławione w apaszowskiej balladzie bandyckie knajpy, jak U Joska na Gnojnej przy Hali Mirowskiej i ta na rogu Ogrodowej i Towarowej, w której urzędował gang Tasiemki, są dobrze znane. Jednak były one czymś w rodzaju bandyckich skansenów, w których chętnie widziano lubiących zakazane przygody gości z warszawskiej socjety. Świetnie zjawisko to zostało pokazane w serialu *Kariera Nikodema Dyzmy* w reżyserii Jana Rybkowskiego. Kiedy do knajpy zbliżają się elegancko ubrani goście, wśród których widz rozpoznaje ministrów i wysokich oficerów, na stół trafiają czyste obrusy, a nudzący się autentyczni gangsterzy zamieniają się w fordanserów obtańcowujących panie z towarzystwa. Jednak były i knajpy takie, do których nikt z ustosunkowanych snobów nawet się nie zbliżył. Do jednych dlatego, że od progu intruza witały przeklęstwa i wściekłe spojrzenia stałych bywalców, do innych – ponieważ ich szemrana sława nie wychodziła poza bandyckie środowisko.

Rys. Marcin Bondarowicz

Znakomity detektyw, komisarz policji Ludwik Kurnatowski, wspominał cukiernię (ciastek też w niej raczej nie jadano) Hassa na Złotej: „Można tam było zastać wszelkie wyrzutki społeczeństwa i męty świata kryminalnego wszelkiej kategorii i specjalności, jak np. bandytów, kasiarzy, kieszonkowców i tzw. szpryngowców [złodziei wchodzących do mieszkań podczas pobytu w nich właścicieli, kradnących głównie z przedpokojów – JG], z wyjątkiem tylko pajęczarzy [kradnących bieliznę suszącą się na strychach] i potokarzy [kradnących towar z wozów na ulicy] bojkotowanych przez inne kategorie przestępców kryminalnych. Tam, u Hassa, czuli się wszyscy swobodni i pod czujnym okiem gospodarza cukierni – bezpieczni. Słychać było dźwięki muzyki, przy stolikach zastawionych trunkami pierwszorzędnej marki zabawiało się ochoczo rozpromienione towarzystwo". U Hassa zazwyczaj panował rozejm nawet między nienawidzącymi się wzajemnie gangami złodziei i sutenerów. Jednak czasami wystarczyła drobna sprzeczka, emocje się uwalniały, a w ruch szły noże i kastety. Biada wtedy klientowi, który nieświadom tego, w jakim jest miejscu, przysiadł przy stoliku, by złożyć zamówienie.

Dzielenie warszawskiego tortu

Prawdziwa plaga krwawych bandyckich masakr w warszawskich kawiarniach miała miejsce na przełomie lat 20. i 30. Gangi dzieliły wtedy między siebie różne dziedziny miejskiego życia i likwidowały konkurentów do pobierania haraczy (bardzo często pod pozorem składki na związek zawodowy) od tragarzy, fryzjerów, rzeźników, handlarzy, kaletników i garbarzy, taksówkarzy, prostytutek, a nawet przedsiębiorców pogrzebowych. W latach 1930-1932 nie było tygodnia, by w jakiejś kawiarni nie doszło do ciężkiego pobicia, bitwy na noże czy egzekucji. Sprzyjał temu bandycki zwyczaj przesiadywania w ulubionej kawiarni jak w biurze i przyjmowanie tam „interesantów" chcących opłacić haracz lub poskarżyć się na niesolidnych dłużników.

23 maja 1932 r. w kawiarence Władysława Czarka przy ulicy Skolimowskiej róg Puławskiej na Mokotowie na takiego interesanta oczekiwał właśnie trzęsący dzielnicą Edmund Kwiatkowski. Interesant (Roman Łoszewski z Nowej Miłosnej) okazał się podstawiony. Wywołał Kwiatkowskiego na ulicę, po czym wszczął z nim bijatykę. Natychmiast pojawiło się dwóch mężczyzn, notabene podwładnych Kwiatkowskiego z gangu: Aleksander Wieremiejczyk zwany Pieskiem (zam. ul. Kwiatowa 16) i Adolf Ruder zwany Dolkiem (ul. Madalińskiego 52), którzy zasypali szefa gradem kul rewolwerowych, kładąc go trupem na miejscu. Od razu potem poszli na Madalińskiego i tam zastrzelili także innego członka gangu, Borawskiego. W ten sposób przejęli rządy na Mokotowie. Nie na długo. Po kilku dniach policyjnej obławy sami zgłosili się do Urzędu Śledczego.

Niecałe dwa tygodnie później pod kawiarnię Niemyńskiego Tunelówka, na Solcu, podjechała taksówka, z której wysiadło trzech mężczyzn. Weszli do środka z wyciągniętymi już rewolwerami i od razu zaczęli strzelać w kierunku stolika, przy którym siedziało także trzech mężczyzn. Po wystrzelaniu wszystkich kul, wyszli z lokalu. Ciężko ranni zostali wszyscy trzej ostrzelani, a lżej – Niemyński przy bufecie i dwóch klientów przy innych stolikach. Wkrótce w szpitalu na Solcu zmarł ten, na którego z pewnością polowano: 23-letni Henryk Matraszek, syn Bolesława Matraszka, legalnego przedsiębiorcy i jednocześnie bandyty, który zmonopolizował wydobycie wiślanego piasku i okrutnie zwalczał wszystkich próbujących ów monopol przełamać. Syn Henryk wspierał działalność ojca własnym nożem i kastetem, a także prowadził swoją działalność, wymuszając haracze (pod pozorem składek związkowych) od woźniców i handlarzy na Powiślu. Zamordowali go najprawdopodobniej bandyci opłaceni przez woźniców niechętnych przynależności związkowej.

Nie pchaj się, gdzie cię nie chcą

Przedwojenni warszawiacy wiedzieli, że w ich mieście należy przestrzegać ważnej zasady: nie pchaj się tam, gdzie cię nie chcą czy nie znają. Nie chodź w miejsca nieoswojone, a już z pewnością unikaj nieznanych knajp, choćby zwały się kawiarniami czy cukierniami. Chcesz napić się kawy? Idź na Krakowskie, na Mazowiecką, na Nowy Świat, ale nigdy na Pragę czy Mokotów. Kto tę zasadę lekceważył, kto w zakazanych miejscach szukał przygód, ten musiał liczyć się z tym, że przygody znajdzie. A bandzior, który od stolika pytał: „Co się gapisz frajerze", a potem walił pięścią uzbrojoną w kastet i wyrzucał poszukiwacza przygód z knajpy, nie raz w ten sposób ratował go przed większymi przykrościami.

Szymon Czechowicz.

Między Krakowem, Rzymem i Warszawą

Katarzyna Komar-Michalczyk

W kolegiacie św. Jana w Warszawie 10 sierpnia 1732 r. stawili się: Johann Georg Plersch – najwybitniejszy czynny w stolicy rzeźbiarz późnego baroku, Simone Lievorati – rzeźbiarz, zapewne krewny Giovanniego Lievoratiego, autora m.in. figury św. Jana Nepomucena przy ul. Senatorskiej 40, i Szymon Czechowicz – malarz, którego obrazy przyrównywane są obecnie do dzieł najlepszych włoskich twórców późnego baroku. Czechowicz i Plersch trzymali do chrztu syna Lievoratiego, co poświadcza wpis w księdze chrztów, zachowanej do dziś w aktach metrykalnych warszawskiej archikatedry św. Jana. W Muzeum Narodowym w Krakowie trwa właśnie pierwsza, monumentalna wystawa monograficzna dzieł polskiego artysty pt. *Geniusz baroku. Szymon Czechowicz 1689-1775*

A. Idini

Szymon Czechowicz, *Św. Jadwiga Śląska*, 1724-1725, olej na płótnie, Rzym, kościół San Stanislao dei Polacchi

Nie wiadomo, czy Plersch, Lievorati i Czechowicz poznali się już w Warszawie, czy jeszcze w Rzymie. W Wiecznym Mieście pierwszy z nich zapewne nabywał artystycznej ogłady i nawiązywał kontakty, które miały potem zaowocować m.in. podczas warszawskich prac, drugi pobierał nauki, a sam Czechowicz kształcił się i pracował. Źródła nie ujawniły też, jak dotąd, dokładnej daty przybycia polskiego malarza do Warszawy. Ale tajemnic związanych z życiem i twórczością Szymona Czechowicza, artysty, który większą część swego twórczego życia spędził w Warszawie i tutaj umarł, jest więcej.

Kraków. Metryka królewskiego miasta

Nie ma wątpliwości co do daty i miejsca chrztu przyszłego malarza. Szymon Czechowicz, syn złotnika Jana, pochodzącego z Radoszyc koło Końskich, i Kunegundy, został ochrzczony 22 lipca 1689 r. w kościele pw. Wszystkich Świętych w Krakowie. Ponad pół wieku później prawdopodobnie w tej właśnie świątyni zawiśnie obraz Czechowicza *Święta Katarzyna Aleksandryjska*, namalowany w 1753 r. (prezentowany na wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie / MNK). Sam kościół już nie istnieje, został rozebrany przed połową XIX w. i na jego miejscu znajduje się dziś plac Wszystkich Świętych, z pomnikiem prezydenta Krakowa Mikołaja Zyblikiewicza (1823-1887).

Z napisanej w 1816 r. przez Konstantego Smuglewicza i przedłożonej Warszawskiemu Królewskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk biografii Szymona Czechowicza wiemy, że bohater naszej opowieści pobierał nauki na dworze Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego, gdzie początkowo miał... grać w kapeli. To właśnie Ossoliński sprawił, że przyszły artysta wyjechał na naukę do miasta nad Tybrem.

A. Olchawska, t. Wojciechowski / Pracownia Digitalizacji MNK

Szymon Czechowicz, *Św. Franciszek Salezy i św. Joanna de Chantal adorujący Serce Jezusa*, poł. XVIII w., olej na płótnie, Warszawa, klasztor wizytek

Rzym. Rozwinięcie skrzydeł

Po nauki do Rzymu jeździło w tym czasie wielu artystów z całej Europy. Czerpali z przebogatej wielowiekowej spuścizny kulturowej Wiecznego Miasta, poznawali najnowsze tendencje w sztuce, stykali się z twórcami, którzy nadawali ton w świecie architektury, rzeźby i malarstwa. Czechowicz po raz pierwszy notowany jest w mieście papieży 8 listopada 1714 r., kiedy to wziął udział w zebraniu Arcybractwa Świętych Trifona, Respicja i Ninfy, a następnie w połowie 1715 r., kiedy odbierał wynagrodzenie za obraz *Ukrzyżowanie* do zakrystii polskiego kościoła w Rzymie San Stanislao dei Polacchi. Rok później dostał nagrodę w tzw. konkursie klementyńskim w Akademii Świętego Łukasza, uznanej rzymskiej szkole sztuk pięknych – za rysunek *Zwycięski powrót z wyprawy wojennej*.

Co artysta robił w Wiecznym Mieście między 1717 a 1724 r. – jest kolejną niewiadomą, z pewnością jednak nie próżnował, a jego artystyczne dokonania musiały spotykać się z wysokimi ocenami, bo oto 9 grudnia 1725 r. przyjęta zostaje jednogłośnie jego kandydatura na członka prestiżowej papieskiej kongregacji wirtuozów Compania di San Giuseppe di Terrasanta, skupiającej wybitnych twórców czynnych w mieście. W posiedzeniach tego szacownego grona polski artysta będzie odtąd brać udział do 1730 r. Tenże rok malarz umieści też w sygnaturze na swym wielkoformatowym obrazie *Wniebowzięcie Matki Boskiej* przeznaczonym do ołtarza głównego kolegiaty (dziś katedry) w Kielcach i wysłanym do Polski z Rzymu: *Pinxit S. Czechowicz / ROMAE 1730*. Dodajmy, że jest to jedno z nielicznych sygnowanych przez tego twórcę dzieł.

W świetle źródeł rok 1730 jest ostatnim śladem obecności Czechowicza w Rzymie. Jego rozpoznana spuścizna z czasu spędzonego nad Tybrem – czyli blisko 20 lat – jest zaskakująco skromna. Prócz wymienionych wyżej obrazów w Wiecznym Mieście powstały jeszcze m.in.:

A. Olchowska, I. Wojciechowski / Pracownia Digitalizacji MNK

Szymon Czechowicz, *Św. Franciszek Salezy przed Matką Boską*, poł. XVIII w., olej na płótnie, Warszawa, klasztor wizytek

Mimo niewątpliwego uznania rzymskiego środowiska artystycznego, czego świadectwem przede wszystkim wspomniane członkostwo w papieskiej Congregazione dei Virtuosi, Czechowicz oszałamiającej kariery nad Tybrem nie zrobił, a jego nazwiska próżno szukać we włoskich podręcznikach historii sztuki. W porównaniu z dziesiątkami rzymskich twórców tego czasu malował poprawnie, ale nie ponadprzeciętnie. Z pewnością jednak stał się profesjonalnym, wysoko wykwalifikowanym malarzem i jako taki, licząc zapewne na zlecenia dworu saskiego, po opuszczeniu Rzymu skierował swe kroki nie ku rodzinnemu Krakowowi, lecz wprost ku Warszawie.

Warszawa. Malarz magnatów i Kościoła

Stolica była oczywistym centrum politycznym i kulturalnym ówczesnej Rzeczypospolitej. Tu znajdował się królewski dwór, tu swoje rezydencje wznosili i utrzymywali wpływowi magnaci, tu bawili przedstawiciele znakomitych rodów z najbardziej odległych stron kraju. Warszawa stanowiła doskonały rynek potencjalnych zleceń dla powracającego z zagranicznej nauki artysty, tym bardziej że w Polsce raczej nie musiał obawiać się konkurencji – w owym czasie poziom malarstwa w Rzeczypospolitej był w większości przypadków przygnębiająco niski.

Zawodowe ścieżki Czechowicza w stolicy zaczęły się jednak od niepowodzenia. Przybysz z Rzymu miał stanąć w artystyczne szranki z Johannem Samuelem Mockiem, saksońskim malarzem na warszawskim dworze Wettynów – obaj twórcy malowali obraz *Ukrzyżowanie*, prawdopodobnie do ołtarza głównego kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Uznanie dworu królewskiego zdobył Mock. Kilka lat później, już po śmierci Mocka w 1737 r., Czechowicz ubiegał się o funkcję malarza nadwornego Augusta III, ale i tym razem został odrzucony. Trudno jednak przypuszczać, by zniechęciło to artystę, bo jednocześnie – zapewne zgodnie z jego oczekiwaniami – spływały zamówienia od klienteli magnackiej. Czechowicz realizował zlecenia: Ossolińskich, wojewody sandomierskiego i lubelskiego Jana Tarły, podskarbiego nadwornego litewskiego Józefa Franciszka Sapiehy, kanclerza wielkiego litewskiego Jana Fryderyka Sapiehy, kardynała i podkanclerzego wielkiego koronnego Jana Aleksandra Lipskiego, hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa Branickiego, marszałka wielkiego litewskiego Pawła Karola Sanguszki, hetmana polnego koronnego Wacława Rzewuskiego i wielu innych.

W archiwaliach po wielokroć natrafiamy na warszawskie ślady Czechowicza. 8 grudnia 1734 r. został wpisany w poczet członków Archikonfraterni Literackiej przy kolegiacie św. Jana w Warszawie. Mieszkał i miał swoją pracownię w kamienicy Pod Fortuną, przy Rynku Starego Miasta 22/24. Pomocnikiem artysty był od lat 30. malarz Łukasz Smuglewicz, prywatnie mąż siostrzenicy Czechowicza, Reginy Olesińskiej. W 1735 r. bohater naszej opowieści trzymał do chrztu w kolegiacie św. Jana ich syna, Jana Szymona.

W Warszawie powstaje większość najważniejszych i najwybitniejszych dzieł Czechowicza, realizowanych na zamówienia dla ośrodków w całym kraju. Wiosną 1736 r. maluje na zlecenie Jana Tarły zespół obrazów do kościoła misjonarzy w Lublinie, a w lipcu tego samego roku podpisuje kontrakt na wykonanie dla Jana Fryderyka Sapiehy portretów do warszawskiego pałacu przy Zakroczymskiej. Na schyłek lat 30. XVIII w. datowany jest zespół 10 obrazów ołtarzowych artysty do kościoła kapucynów w Lubartowie, zamówionych przez Pawła Karola Sanguszkę (część z nich możemy oglądać na wystawie w MNK), w którym to zleceniu miał Czechowiczowi pomagać Łukasz Smuglewicz. Na początku lat 40. artysta realizuje zamówienie hetmana Jana Klemensa Branickiego – wielkoformatowe malowidło *Wniebowzięcie Matki Boskiej* i obraz *Św. Katarzyna Aleksandryjska* do ołtarza głównego kościoła parafialnego w Tyczynie. Z korespondencji Branickiego wynika, że w zbliżonym czasie malarz realizował inne duże zlecenie hetmana – zapewne chodziło o supraporty do pałacu Branickich na Podwalu. Był to niewątpliwie okres intensywnej pracy Czechowicza, bo oto zachowany rachunek z 1741 r. dowodzi, że w tym samym czasie wypełniał też zamówienie na obrazy do stall w świątyni św. Anny w Krakowie.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na zagadnienie organizacji pracy i funkcjonowania warszawskiej pracowni Czechowicza. Obfitość realizowanych zleceń każe przypuszczać, że nie wszystkie obrazy namalował sam. Wskazuje na to także różny poziom płócien, zwłaszcza późniejszych. Najbliższym, pewnym współpracownikiem „malarza polskich magnatów" był Łukasz Smuglewicz. Miał Czechowicz kilku uczniów, m.in. Antoniego i Franciszka Smuglewiczów, Jana Bogumiła Plerscha czy Antoniego Albertrandiego. Konstanty Smuglewicz pozostawił we wspomnianej biografii artysty wiadomość, która ugruntowała się w popularnym przekazie, o prowadzonej przez Czechowicza i Łukasza Smuglewicza w Warszawie prywatnej szkole rysunku i malarstwa, w której nauka miała być bezpłatna. Z uwagi na brak wiarygodnych źródeł historię tę na obecnym stanie wiedzy należy raczej włożyć między romantyczne bajki.

P. Jamski

Szymon Czechowicz, *Św. Piotr*, 1742, olej na płótnie, Kraków, bazylika Mariacka

Następne lata przynoszą kolejne prestiżowe zamówienia i imponujące realizacje Czechowicza, w tym dla bazyliki Mariackiej w Krakowie (m.in. obrazy *Św. św. Szymon i Tadeusz Juda*, *Męczeństwo św. Apolonii*, *Św. Piotr*, z lat 40. XVIII w.) i dla katedry na Wawelu. Końcówka dekady to prace nad wielkim zespołem płócien do kościoła misjonarzy w Tykocinie, na zamówienie Wacława Rzewuskiego. Obrazy powstawały w latach 1748-1750, ale jeszcze w kwietniu 1750 r. artysta w liście do zleceniodawcy oczekiwał wskazówek, czy malować cętki na gronostaju św. Elżbiety, czy nie... Jak możemy się przekonać na krakowskiej wystawie, na której tykocińskie obrazy, w tym *Św. Elżbieta Portugalska*, są prezentowane, odpowiedź magnata była twierdząca. W latach 50. XVIII w. powstają dwa monumentalne obrazy do kościoła jezuitów w Poznaniu: *Komunia św. Stanisława Kostki* i *Wskrzeszenie Piotrowina*, a także obrazy do świątyń w Wilnie – czterech kościołów jezuickich, kościoła wizytek oraz zespół wielkoformatowych obrazów do kościoła pw. św. Katarzyny. Płótna z tej ostatniej świątyni:

P. Jonski

Szymon Czechowicz, *Matka Boska ze św. Dominikiem i św. Katarzyną Sieneńską*, poł. XVIII w., olej na płótnie, Krasne, kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP

sku. Po raz pierwszy prezentowane są teraz na wystawie w MNK, w układzie jak w Pokoju Zielonym, odtworzonym na podstawie zdjęć archiwalnych.

O prywatnym życiu Czechowicza wiemy niewiele. Na pewno nigdy nie założył rodziny. Zastanawiające jest, na co przeznaczał – niewątpliwie niemałe – honoraria za swoje prace. Pierwsza monografistka Szymona Czechowicza, Józefa Orańska, pisała, że w latach 70. XVIII w. twórca mieszkał u Smuglewiczów w Warszawie. Nie miał zatem, jak np. Marcello Bacciarelli czy Johann Georg Plersch, własnych nieruchomości w stolicy. Ze spisu mieszkańców Starej Warszawy z 1754 r. wiemy, że kiedy mieszkał przy Rynku Starego Miasta, zatrudniał dwie osoby służby. W końcówce życia – a miał wtedy blisko 80 lat – był tercjarzem kapucyńskim, mieszkał i miał pracownię w oficynie pałacu Radziwiłłów/Paców przy Miodowej. W księdze zmarłych klasztoru kapucynów określono go mianem dobroczyńcy zakonu, być może zatem uczynił jakieś zapisy na rzecz klasztoru.

Szymon Czechowicz zmarł w Warszawie 21 lipca 1775 r. Pochowany został w krypcie kościoła kapucynów przy ulicy Miodowej.

Wystawa. Powrót do królewskiego miasta

Jeszcze jedną tajemnicą bohatera naszej opowieści jest, u którego z rzymian pobierał nauki podczas pobytu w Wiecznym Mieście. Najczęściej jego obrazy określa się jako najbliższe klasycyzującej manierze Carla Marattiego (1625-1713), najwybitniejszego malarza czynnego Rzymie w drugiej połowie XVII w. Styl Marattiego jeszcze w pierwszej połowie XVIII w. wywierał wielki wpływ na rzymską sztukę – nie pozostał nań obojętny także Czechowicz, choć niewątpliwie nie był wyłącznie naśladowcą wielkiego rzymianina. Jak pisze w katalogu do krakowskiej wystawy Zbigniew Michalczyk „[...] nawiązując do późnobarokowej konwencji, Czechowicz rozwinął indywidualny styl, którego istotną cechą była skłonność do swoistego minimalizmu, dyscypliny, ograniczania elementów ubocznych, tych, które nie są związane z główną akcją". Możemy się o tym przekonać na krakowskiej wystawie – jedyne przedmioty na płótnach artysty to niezbędne dla identyfikacji postaci atrybuty, a tło – krajobrazowe czy architektoniczne – jest ledwie zasygnalizowane. Twarze są idealizowane; zastygłe w religijnej ekstazie postaci spoglądają w niebo „wilgotnymi" oczami, w których odbija się łagodne światło dobiegające gdzieś spoza kadru. Fałdy szat są ciężkie, mięsiste. Dominują skontrastowania barw ciepłych i zimnych: różu, żółcieni, czerwieni z błękitami, zielenią i wieloma odcieniami bieli. Wielką siłę wyrazu mają – malowane dla odmiany realistycznie – portrety magnatów.

Trójca Święta, *Matka Boska Immaculata*, *Św. Gertruda*, *Św. Benedykt* i *Św. Scholastyka* są prezentowane na wystawie w MNK w taki sposób, że odnosimy wrażenie, iż stoimy we wnętrzu nawy wielkiej świątyni.

Za wyjątkowe w historii nowożytnej sztuki polskiej uznawane jest zlecenie, które Czechowicz realizował dla Wacława Rzewuskiego od 1762 r. w Podhorcach. Do tamtejszego zamku oraz nieodległego kościoła w Olesku artysta namalował kilkadziesiąt (!) płócien. Większość z nich zawieszono w tzw. Pokoju Zielonym podhoreckiego zamku. Część obrazów zaginęła podczas II wojny światowej, ale część ocalała i te przez kilkadziesiąt lat składowane były w magazynie Lwowskiej Galerii Sztuki – w piwnicach klasztoru w Ole-

K. Kowalik / Pracownia Digitalizacji MNK

Szymon Czechowicz, *Św. Jan Ewangelista* (fragm.), 1754, olej na płótnie, Wilno, Muzeum Dziedzictwa Sakralnego, pierwotnie kościół wizytek w Wilnie

Krakowska wystawa to tylko fragment obfitego dorobku Czechowicza, a przecież i tak ekspozycja to monumentalna, do której przygotowania trwały cztery lata. W jednym miejscu zgromadzono ponad 200 obrazów i rysunków Czechowicza, które sprowadzono z 47 muzeów i kościołów z sześciu krajów: Polski, Ukrainy, Litwy, Włoch, Francji i USA. Jest to pierwsza wystawa dzieł Czechowicza, zarazem zorganizowana w mieście, w którym artysta ponad 330 lat temu przyszedł na świat. Prezentowane na wystawie obrazy na co dzień toną w mrokach kościołów i klasztorów lub pojedynczo wiszą na ekspozycjach muzeów w Polsce i za granicą. W Muzeum Narodowym w Krakowie, pokazane „w masie", prezentują się naprawdę spektakularnie. Z wyeksponowanych jedno obok drugiego gigantycznych płócien patrzą na nas naturalnej wielkości postaci świętych i męczenników, aniołów, Trójcy Świętej, Matki Boskiej i magnatów. Krakowska wystawa to także być może jedyna okazja, by zobaczyć obrazy na co dzień niedostępne postronnemu widzowi – wypożyczone z klauzurowych klasztorów, w tym trzy wyjątkowej klasy płótna z klasztoru wizytek w Warszawie: *Św. Św. Franciszek Salezy i Joanna de Chantal adorujący Serce Jezusa*, *Św. Franciszek Salezy przed Matką Boską* oraz *Matka Boska Immaculata* (poł. XVIII w.). Na uwagę zasługują także zaprezentowane na wystawie rysunki Czechowicza, stanowiące fascynujący dokument jego warsztatu pracy.

Jako kontekst w MNK pokazane są obrazy znakomitych rzymian, jak Carlo Maratti, Sebastiano Conca, Corrado Giaquinto, Agostino Masucci, czy uczniów Czechowicza: Jana Bogumiła Plerscha i Łukasza Smuglewicza. Mamy zatem wyjątkową okazję do spotkania z wielką sztuką późnego baroku. Krakowska wystawa (kurator: Tomasz Zaucha) to bez wątpienia jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych 2020 r. Towarzyszy jej imponujący (720 stron!), cytowany już katalog, w którego zakończeniu czytamy: „Twórczość Czechowicza jest [...] jednym z najważniejszych zjawisk artystycznych wiążących kulturę staropolską ze sztuką Rzymu".

Wystawa *Geniusz baroku. Szymon Czechowicz 1689-1775*, Muzeum Narodowe w Krakowie, do 21 lutego 2021

Korzystałam z: *Geniusz baroku. Szymon Czechowicz 1689-1775 / Genius of the Baroque. Szymon Czechowicz 1689-1775*, katalog wystawy, eseje: Z. Michalczyk, F. Petrucci, red. nauk. A. Betlej, T. Zaucha, Muzeum Narodowe w Krakowie, Kraków 2020

Jedna z sal ekspozycyjnych na wystawie *Geniusz baroku. Szymon Czechowicz 1689-1775* w Muzeum Narodowym w Krakowie

K. Komar-Michalczyk

STOLICA nr 11-12/2020

Volatus Media

Dolabella. Wenecki malarz Wazów – wernisaż wystawy, 10 września 2020 r.

Wenecjanie Dolabella i Piranesi

Jerzy S. Majewski

Tommaso Dolabella i Giovanni Battista Piranesi – artyści różnej klasy, żyjący w innym czasie. Piranesi urodził się 150 lat po Dolabelli. Obaj pochodzili jednak z Republiki Weneckiej, obaj też wywarli duży wpływ na sztukę – Piranesi w całej klasycystycznej Europie, Dolabella w Rzeczypospolitej epoki Wazów. Na Zamku Królewskim w Warszawie można zobaczyć wystawy poświęcone obu tym nowożytnym artystom

Gdyby Tomasz Dolabella pozostał w Wenecji, zapewne doskonaliłby swój warsztat malarski, nie wykraczając jednak ponad pewną przeciętność. Byłby tylko jednym z armii artystów Serenissimy. W Rzeczypospolitej pierwszej połowy XVII w. błyszczał na firmamencie najznamienitszych ludzi pędzla, choć wobec braku na naszych ziemiach twórczego środowiska malarskiego jego prace z czasem zaczęły ulegać pewnej barbaryzacji. Mieszkał w Krakowie, ale na zamówienie dworu królewskiego tworzył wielkie rozmiarami dzieła dla kolejnych Wazów. Od Zygmunta III po Jana Kazimierza. Przynajmniej raz na jakiś czas przybywał do Warszawy. Choćby po to, by nadzorować montaż stropów ramowych i malowanych przez siebie plafonów.

Malarz klasztorów i monarchów

Wystawa *Dolabella. Wenecki malarz Wazów* nie jest klasyczną wystawą monograficzną, jednak na pewno stanowi pierwszą dużą prezentację dzieł artysty. Można też na niej zobaczyć prace na co dzień niedostępne.

Duże wrażenie wywierają obrazy wypożyczone z krakowskich kościołów: Bożego Ciała na Kazimierzu, kościoła Mariackiego czy świątyni kamedułów na Bielanach. Obraz z kościoła Bożego Ciała ze sceną zdjęcia z krzyża umieszczony jest na co dzień w zwieńczeniu ogromnego ołtarza głównego i bez lornetki raczej trudno go obejrzeć. Z kolei płótna wpisane w ramy architektoniczne kaplicy Montelupich w kościele Mariackim są zwyczajowo niedostępne dla zwiedzających. Trzeba mieć też sporo szczęścia, aby obejrzeć duże kompozycje powstałe dla bielańskiego kościoła kamedułów, gdzie kobiety wpuszczane są tylko kilka razy w roku. Na Zamku wszystkie te obrazy, podobnie jak kilkadziesiąt innych dzieł sztuki, ujrzymy z bliska. Percepcji bardzo pomaga znakomita inscenizacja stworzona w pracowni Studia Govenlock, dobrze wpisująca się w klimat sztuki wczesnego baroku. Oglądając wystawę, nie sposób uwolnić się od wrażenia, że prace Dolabelli, stanowiące od kilkuset lat rodzaj odrealnionych przedmiotów kultu, tutaj, na ekspozycji, tracą swoje środowisko naturalne, stając się dziełami sztuki, wiele mówiącymi nie tylko o ewolucji warsztatu malarza, lecz także o oczekiwaniach jego możnych mocodawców w Rzeczypospolitej przed potopem szwedzkim.

Dolabella, który przybył do Polski na zaproszenie króla Zygmunta III Wazy, stał się z czasem tak znany, że po latach przypisywano mu niemal każdy duży XVII-wieczny obraz. Specjalizował się w ogromnych kompozycjach i malował je zarówno na zlecenia klasztorów, jak też dworu królewskiego. Plafony jego pędzla zdobiły rezydencje królewskie w Warszawie, wywierały wrażenie na duchownych i przedstawicielach wielkich rodów szlacheckich. Budowały splendor kolejnych Wazów, głosiły chwałę ich zwycięstw i heroizm czynów. Niestety, potop przyniósł zagładę rezydencji królewskich w Warszawie, wraz z ich wyposażeniem.

Dzięki badaniom poprzedzającym urządzenie wystawy niektóre obrazy dotąd przypisywane Dolabelli zostały wykreślone z jego dorobku. Inne, nieznanego autorstwa, uznano za jego prace. Twórcy wystawy i konserwatorzy zaangażowani w prace renowacyjne poświęcili przy tym wiele czasu na rozpoznanie technik stosowanych przez artystę: używanych przez niego podobrazi, gruntów, pigmentów czy podrysowań, dotąd niestanowiących przedmiotu badań historyków sztuki. Przyniosło to interesujące rezultaty i odkrycia. Także w Warszawie. Przykładem jest obraz *Wniebowstąpienie* wiszący od niepamiętnych czasów w zakrystii kościoła Świętego Krzyża. Dotąd nieomal niezauważalny, teraz poddany został konserwacji, a po zakończeniu wystawy uznany zostanie zapewne za jedno z najcenniejszych dzieł sztuki w tej zabytkowej świątyni. Dodajmy, że autorem koncepcji i scenariusza wystawy jest Jerzy Żmudziński, kuratorem zaś Magdalena Białonowska.

Polona

Jan Feliks Piwarski, portret Tommasa Dolabelli, przed 1850, cynkografia, Warszawa, Biblioteka Narodowa

Tommaso Dolabella, *Szkoła św. Tomasza z Akwinu*, ok. 1620

Volatus Media

Tommaso Dolabella, *Św. Stanisław Biskup i św. Walery adorujący Matkę Boską z Dzieciątkiem*, ok. 1614, olej na płótnie, Kraków, bazylika Mariacka

Grafiki wizjonera

Wystawa *Dolabella. Wenecki malarz Wazów* to niejedyna obecnie na Zamku prezentacja twórczości nowożytnych artystów pochodzących z Wenecji. Kolejnym bohaterem jest Giovanni Battista Piranesi, XVIII-wieczny architekt i rytownik, wykształcony w Wenecji, ale związany głównie z Rzymem. Jego ryciny ujrzymy na kameralnej wystawie *Uwięziony geniusz. Giovanni Battista Piranesi*. Artysta zaprojektował kilka znaczących budynków, jak willa zakonu kawalerów maltańskich w Rzymie, jednak w dziejach sztuki zapisał się głównie jako autor niezwykłych widoków starożytnych ruin i budowli w Rzymie. Ogromne, przeskalowane obiekty z czasów starożytnego Rzymu w wizjach Piranesiego urastały do cyklopich rozmiarów. Wywierały piorunujące wrażenie na współczesnych. Odcisnęły też niemałe piętno na wyobraźni następnych pokoleń architektów: od XVIII-wiecznych klasycystów po twórców klasycznych nurtów modernizmu w XX stuleciu. Wystawa na Zamku jest do jakiegoś stopnia odbiciem XVIII-wiecznych fascynacji twórczością artysty. Zaprezentowane tu bowiem zostały ryciny z cyklu *Carceri*, czyli *Więzienia*, zawierającego 16 akwafort z fantastycznymi wizjami monumentalnych więzień, które doczekały się niejednej interpretacji. Ukazują one wnętrza

Francesco Polanzani, portret Giovanniego Battisty Piranesiego, 1750, miedzioryt, kolekcja Adama Broża

o rozmiarach, jakich nie znał ówczesny świat. Interesujące jest to, że seria odbitek uważana za jedną z najbardziej niezwykłych w twórczości Piranesiego znalazła się w zbiorach Stanisława Augusta Poniatowskiego (dziś przechowywane są w Gabinecie Rycin Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego). Zresztą zbiór zgromadzony przez króla (13 lat młodszego od artysty) był jedną z największych na świecie kolekcji rycin Piranesiego oraz jego syna Francesca. Uzupełnieniem wystawy jest portret architekta z 1750 r. wykonany przez przyjaciela Piranesiego – Francesca Polanzaniego. Obraz jest nasycony symboliką odnosząca się do twórczości artysty.

Wystawa związana jest z przypadającą na październik 300. rocznicą urodzin artysty i jest pierwszą prezentacją jego prac na Zamku Królewskim w Warszawie. Muzeum zapowiada ekspozycje kolejnych cyklów rycin Piranesiego, składające się na fascynującą opowieść o sztuce tamtych czasów. Kuratorem wystawy jest Tomasz Jakubowski, we współpracy z Jolantą Talbierską z Gabinetu Rycin BUW.

Dolabella. Wenecki malarz Wazów – do 6 grudnia 2020
Uwięziony geniusz. Giovanni Battista Piranesi – do 5 stycznia 2021
Obie wystawy prezentowane są na Zamku Królewskim w Warszawie

G.B. Piranesi, *Carcere XVI, Postument z łańcuchami*, akwaforta, Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, kolekcja króla Stanisława Augusta

G.B. Piranesi, karta tytułowa *Carceri d'Invenzione*, akwaforta, Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, kolekcja króla Stanisława Augusta

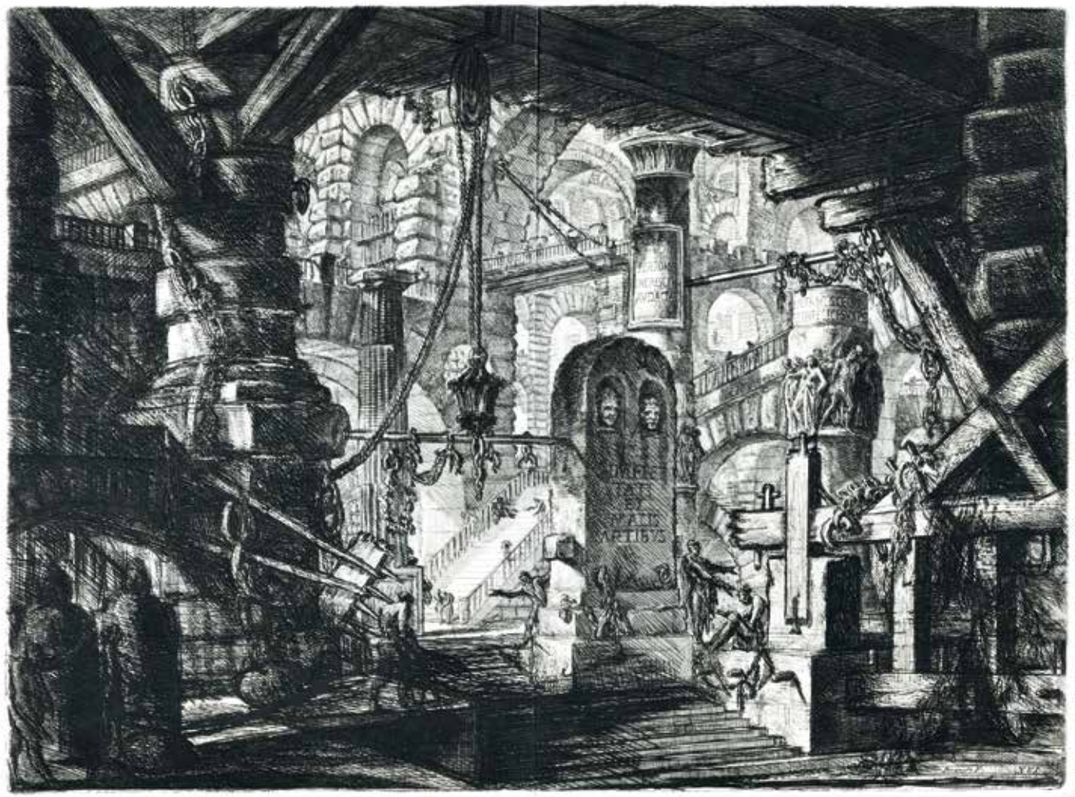

Pałac Pod Blachą. Nowa odsłona

O Apartamencie Księcia Józefa Poniatowskiego, pałacu Pod Blachą, kobietach i wojsku – kurator Mariusz Klarecki w rozmowie z Tatianą Hardej

T. Hardej

Czy pałac Pod Blachą nie powinien się nazywać pałacem Pod Zamkiem? Obie instytucje są sobie bardzo bliskie.

Rzeczywiście, dworzanie Stanisława Augusta mieszkali w pałacu Pod Blachą, jeszcze zanim król umieścił tam swojego bratanka. Zawsze jednak Zamek zachowywał pewną odrębność. Pałac był jedyną rezydencją warszawską krytą miedzianą blachą. To wyjątkowe, a przy okazji bardzo drogie rozwiązanie technologiczne wyróżniało w tamtych czasach budynek spośród pozostałych, krytych gontem, czyli dachówką ceramiczną.

„W tamtych czasach", czyli kiedy?

Pałac, jaki znamy teraz, powstał ok. 1720 r. Jednak budynek kojarzy się z czasami Poniatowskich. To rzeczywiście ciekawe, że widzimy formę z 1720 r., ale myślimy o roku 1788, kiedy Józef Poniatowski wprowadza się do Pałacu.

Książę Józef mieszkał tam sam?

To nie leżałoby w jego naturze. Przede wszystkim w jego życiu były obecne kobiety – najpierw siostra, czyli Maria Teresa Tyszkiewicz, później Henriette de Vauban, przyjaciółka i metresa.

Pałac Pod Blachą liczył się wtedy w Warszawie?

Zdecydowanie tak. Po abdykacji króla Stanisława Augusta książę przejął towarzystwo zamkowe, czyli to, które bywało na obiadach czwartkowych i różnego rodzaju balach. Przyjęcia odbywały się przede wszystkim w czwartki i w niedziele. Pałac wyznaczał trendy, jeśli chodzi o zabawę i modę. Tam najwięcej się działo, pojawiało się najwięcej młodych kawalerów, najwięcej pięknych pań. To Pałac, nie Zamek, stanowił wtedy centrum życia towarzyskiego.

Pałac zyskał więc na abdykacji króla?

Chcąc, nie chcąc – tak. Ktoś musiał wieść prym w życiu towarzyskim, nawet w najgorszych czasach. Książę odnajdywał się w tym doskonale. Pałac słynął z niczym nieograniczonych hulanek. Panowie toczyli pojedynki, podrywali dziewczyny, ścigali się po ulicach, robili dowcipy żołnierzom pruskim pełniącym służbę w stolicy. Władze przymykały na to oczy.

Książę miał jednak także poważniejsze zajęcia...

Przede wszystkim był doskonałym organizatorem – nie tylko armii, lecz także życia gospodarczego i publicznego w Warszawie. Skutecznie potrafił zadbać o wojsko, które zostało dobrze wyposażone i wyekwipowane. Pieniądze wyciągał, skąd się dało, niektóre jednostki przerzucał nawet na skarb Napoleona. A kiedy księcia już nie było stać na utrzymanie pułków, wysłał kontyngent na wojnę w Hiszpanii. Przynosiło to żołnierzom ogromne doświadczenie.

Po śmierci księcia Pałac się zmienił?

Maria Teresa Tyszkiewicz, która odziedziczyła Pałac, kilka lat po śmierci księcia sprzedała go carowi, czyli Aleksandrowi I. Mieściły się tam carskie urzędy i mieszkania.

Czy Pałac, który znamy teraz, pamięta czasy księcia Józefa?

Podczas wojny budynek został zbombardowany i wypalony, zarwały się stropy, spłonęły autentyczne polichromie, ale mury pozostały. Słynny dach odtworzono na podstawie obrazów Canaletta, a wnętrza – na bazie przedwojennych fotografii. Mury są zatem absolutnie autentyczne.

Od października możemy oglądać Pałac w nowej odsłonie. Co to znaczy?

Przybyło ponad 250 nowych eksponatów! Najważniejsze, że są to przede wszystkim zabytki odnoszące się do księcia Józefa i Księstwa Warszawskiego, a nie późniejsze, na temat epoki. Mamy niezły zbiór dokumentów z Kancelarii Wojennej czy pamiątki związane z wyprawą wojsk napoleońskich na Moskwę, np. manierkę, z którą pewien Francuz przeszedł cały szlak i szczęśliwie wrócił do domu. Ciekawe są akwarele Kajetana Rupniewskiego, amatora, który malował sceny związane z epoką napoleońską tak dokładnie, że dzięki niemu wiemy, jak wyglądały ówczesne mundury. Pokazujemy zbiór plakiet z czapek napoleońskich. Prezentujemy szablę znalezioną podczas rozbiórki dachu jednego z budynków w okolicach Waterloo – pamiątkę po słynnej bitwie, w której uczestniczyli m.in. polscy szwoleżerowie.

Kancelaria Wojenna

Które eksponaty są najciekawsze?

Niesamowita jest kolekcja medali, na których przedstawiono na symbolicznych ilustracjach wszystkie kampanie napoleońskie. Dumny jestem ze zdobycia blach szwoleżerów gwardii i lansjerów nadwiślańskich. Kancelarię Sztabową zdobi piękny empirowy zegar z figurą księcia, wykonany zaraz po jego śmierci, oraz teczka, w której dostał od Napoleona patent Marszałka Francji. Prezentujemy pokaźny zbiór militariów, w tym szable, karabiny i lance. Zachwyt budzi złocone strzemię marszałków francuskich. Ciekawostką są zapewne nigdy dotąd niepokazywane zabytki archeologiczne z epoki, znalezione w okolicach pałacu Pod Blachą. Dużym zainteresowaniem cieszy się kielich mszalny z pokrowcem wykonany przez Tadeusza Kościuszkę czy kosmyk jego włosów z potwierdzeniem autentyczności, ale także list Henriette de Vauban do lekarza Wincentego Witaczka z podpisem książęcej metresy.

Sypialnia

Zdjęcia: M. Niewiadomska / Zamek Królewski w Warszawie

Która część Apartamentu Księcia Józefa jest najpiękniejsza?

Najbardziej dekoracyjna jest Sypialnia oraz obie kancelarie: Wojenna i Sztabowa.

Czy pałac Pod Blachą można już zwiedzać?

Tak, a wkrótce będzie się w nim działo znacznie więcej. Planujemy wystawy, będą pokazywane kolekcje prywatne, już odbywają się wydarzenia związane z mieszczącą się w Pałacu kolekcją dywanów Fundacji Teresy Sahakian. Chcę ożywić pałacowy dziedziniec. W tym roku latem zorganizowaliśmy tam kino plenerowe. Chciałbym pokazywać w tym miejscu sztukę współczesną. Wiosną planujemy piknik rodzinny, na który zaprosimy rekonstruktorów. Będzie sesja naukowa dotycząca najnowszych badań nad epoką napoleońską. Zaprezentujemy jedyny autentyczny list z podpisem Napoleona znajdujący się w zbiorach polskich. Mamy obiecaną kolekcję pamiątek po jednym z lansjerów nadwiślańskich. Planujemy także magiczne ogrody na dziedzińcu.

Przywracamy więc pałac Pod Blachą Warszawie?

Zdecydowanie przywracamy, a nawet pokazujemy go w jeszcze wspanialszej odsłonie. Będzie się dużo działo, wszystkiego nie będę jeszcze zdradzał. Chcę, żeby Pałac był miejscem rozrywki, sztuki i nauki, przestrzenią spotkań dla rekonstruktorów – i żeby kwitło w nim życie towarzyskie, tak jak było dawniej.

Adres niezwykły – **Elektoralna 12**

Leonard Francman

Od czasu do czasu korzystam z dobrodziejstw repertuarowych Mazowieckiego Instytutu Kultury, który ma swoją siedzibę w gmachu przy ul. Elektoralnej 12. Bliższe zapoznanie się z historią budynku uzmysłowiło mi, jak wyjątkowe były koleje jego losu

Znajdująca się pod jezdnią dzisiejszej ulicy Elektoralnej XVI-wieczna polna droga, dzieląca niegdyś pola książęce i miejskie dawnej Warszawy, z biegiem lat stała się częścią ważnego traktu wiodącego od Starego Miasta, poprzez Senatorską, obecną Elektoralną, do pola elekcyjnego na Woli. Była też początkiem traktu do Wrocławia. Pierwsza elekcja na Woli odbyła się w 1575 r., wybrano wtedy Annę Jagiellonkę, a ostatnia – w 1764 r., kiedy wybrano Stanisława Augusta Poniatowskiego. Dni elekcji rozpoczynały się od mszy w kolegiacie św. Jana, potem tłumy – szlachta, arystokraci, magnaci, wraz z czeladzią, karetami, powozami i konno, a może i pieszo – ruszały na Wolę. Początkowo Senatorska i Elektoralna były piaszczystymi gościńcami wśród łanów zbóż i nawet kościół reformatów pw. św. Franciszka przy Senatorskiej określano jako [stojący] „na piaskach". Pierwotnie bezimienna droga z czasem zyskiwała miana: „z Senatorskiej prosto w pole idąca", „Za wałem" i „Wielopole" – po powstaniu jurydyki. Gwałtowny rozwój obecnej Elektoralnej nastąpił dopiero w połowie XVIII w., kiedy wybudowano pierwsze domy i pałace. W 1720 r. ulica została uregulowana i nazwana Elektoralną – od króla Augusta II Sasa, elektora saskiego.

Karoce, landary i kocze

Przechodząc do historii miejsca, w którym działa dziś MIK, warto zapoznać się z osobą Tomasza Michała Dangla. Urodzony w 1742 r. w Pasłęku, w ówczesnych Prusach, kształcił się na siodlarza. Chcąc pogłębić swą wiedzę fachową, podróżował po Europie, a czas jakiś spędził w Anglii. W 1768 r. przybył do Warszawy ze Szczecina – podobno pieszo, z węzełkiem na plecach. Założył warsztat siodlarski, który zyskał dużą renomę i ceniony był również przez króla. Po ożenku z córką właściciela manufaktury powozów, Krauzego, Dangel wybudował okazały dom przy ul. Elektoralnej 12, w którym wkrótce otworzył własny zakład produkujący powozy.

W manufakturze wytwarzano wszelkie typy pojazdów, według wzorów zachodnich, szczególnie angielskich: karoce, landary, kocze, kolaski i inne. Miały wysoką jakość i znajdowały nabywców w całej Europie. Interes rozkwitał i w latach 80. i 90. Dangel zatrudniał już ok. 300 osób. Manufaktura realizowała zamówienia bieżące, miała też stale na składzie kilkadziesiąt pojazdów do natychmiastowej sprzedaży zainteresowanym klientom. W celu pomieszczenia niemałej liczby wyrobów Dangel wybudował w głębi posesji piętrowy magazyn z systemem podjazdów, który przypominał dzisiejsze piętrowe garaże.

Bardzo szybko dorobił się ogromnego majątku. Sam król Stanisław August Poniatowski winien mu był 128 736 złotych polskich, który to dług w ciągu dziewięciu miesięcy urósł do 167 400 złotych polskich. Pieniądze te przepadły wraz z upadkiem króla. Dangel podobno był uczciwy i skrupulatny, ale plotki głoszą, że swoje wyroby wysyłał czasem

Zabudowania Szpitala Świętego Ducha, ok. 1914 r.

Ruch uliczny przed zabudowaniami szpitala, 1938 r.

Zdjęcie z 1938 r. ze zbiorów MIK

cichcem drogą lądową do Gdańska, a potem, ozdobione angielskimi naklejkami, ładował na szkuty, spławiał Wisłą do Warszawy i sprzedawał z dużo większym zyskiem. Tradycja manufaktur powozowych trwała do początku XX w. – największe w mieście warsztaty tej branży mieściły się w najbliższym sąsiedztwie szpitala przy Elektoralnej, Orlej i Lesznie.

Po śmierci Dangla w 1810 r. posesja przeszła pod rządowe kierownictwo i początkowo służyła wojsku jako siedziba Komisaryjatu Ubiorczego Wojska, a potem Głównej Komisji Celnej Składowej. W 1856 r. została przeznaczona pod budowę Szpitala Świętego Ducha.

Najnowocześniejszy szpital w mieście

Szpital Świętego Ducha został ufundowany w 1444 r. przez Annę Mazowiecką i początkowo mieścił się przy ulicy Piwnej, obok kościoła św. Marcina. Potem przenoszony był pod różne adresy. Projekt i realizację placówki na posesji przy ul. Elektoralnej 12 powierzono budowniczemu rządowemu, radcy Józefowi Orłowskiemu. Nadzór budowlany prowadzili również architekt Gustaw Adolf Werner i budowniczy Gustaw Roesler. W celu zapoznania się z nowoczesnym budownictwem szpitalnym Orłowski wyruszył w dwuletnią podróż po Europie Zachodniej.

Prace budowlane rozpoczęto w 1859 r., a 23 czerwca tegoż roku uroczyście wmurowano kamień węgielny pod kaplicę (obecnie w pomieszczeniu tym znajduje się sala widowiskowa). Wmurowany akt zawierał historię Szpitala św. Ducha. Przed rozpoczęciem uroczystości wzniesiono biały namiot, by skwar nie dokuczał przybyłym. A byli wśród nich nie byle jacy dostojnicy: książę Michaił Gorczakow – namiestnik Królestwa Polskiego, arcybiskup metropolita warszawski Antoni Fijałkowski, oberpolicmajster Warszawy Siergiej Muchanow, gubernator Warszawy gen. Fiodor Paniutin i inni. Po uroczystości, obejrzawszy postępy robót, goście udali się na wystawne śniadanie.

Po półtora roku frontowy gmach był gotów. Orłowskiego i jego dzieło, podobnie jak staranne wykończenie budynków zgodnie chwaliła prasa. „Gazeta Polska" nr 221 z 1862 r. pisała: „Front gmachu całego usunięty od ulicy, utworzył plac [...], przez co utworzył się zajazd i widok należyty budowli. Cały front ma styl ściśle klasyczny grecki. [...] Piękna kaplica okrągła [...] w stylu romańskim przechodzi przez parter i pierwsze piętro. Zdobi ją obraz *Zdjęcie z Krzyża* pędzla Hozroe Duzzi tudzież Matka Boska z Jezusem błogosławiącym pędzla [Rafała] Hadziewicza". Gazeta podkreślała nowoczesność rozwiązań technicznych, w tym centralne ogrzewanie i system wentylacyjny. Gmach główny został dość komfortowo wykończony i miał m.in. posadzki ze śląskiego marmuru, zapewne przynajmniej w kaplicy. Fronton centralnego ryzalitu fasady zwieńczyła grupa figuralna *Anioł Miłosierdzia* dłuta Jana Józefa Manzla. Tereny zielone urządził ogrodnik Ignacy Hanusz.

Chwila w słońcu przed zbombardowanymi w 1939 r. zabudowaniami szpitala przy ul. Elektoralnej 12

Budynek ukończono w 1862 r.; 15 września poświęcił go arcybiskup metropolita warszawski Zygmunt Szczęsny Feliński.

Gmach główny połączony był z kaplicą i pawilonami – co było rozwiązaniem nowatorskim – usytuowanymi za budynkiem głównym, w ogrodzie. W przedsionku gmachu głównego, gdzie dziś znajdują się recepcja i szatnie, konsultowano chorych, znajdowały się tu także: łaźnia, kancelaria, mieszkania kapelana, chirurga i lekarza oraz płatne pokoje pojedyncze dla chorych. Frontowy gmach główny był po bokach połączony z pawilonami bramnymi, a z tyłu z blokiem operacyjnym, ten zaś miał na tyłach galerię wiodącą do zespołu pawilonów oddziałowych – pięciu prostopadłych do ulicy i szóstego poprzecznego, który zespalał wszystkie pozostałe. Jeszcze jeden blok, przypuszczalnie zakaźny, stał oddzielnie, przy północno-wschodnim narożniku posesji. Kompleks wyposażony był w kanalizację, kaloryfery i nawiew powietrza. Zgodnie z zapisami fundacji szpital utrzymywał 12 stypendystów. W 1863 r. założono tu dwuletnią szkołę felczerów, potem obiekt pełnił funkcję kliniki uniwersyteckiej.

Niezwykli sąsiedzi

Z dalekiego Krzemieńca, saniami pocztowymi, 17 lutego 1829 r. przybył do Warszawy młody Juliusz Słowacki. Po zmianie kilku adresów zamieszkał we wrześniu tegoż roku przy ul. Elektoralnej 20. Wynajmował trzypokojowe mieszkanie, w którym umiłował sobie maleńki, zielony pokoik. Powstało tu kilka jego utworów, o których po latach pisał do matki, że je nienawidzi, „bo rozwinęło się we mnie jakiejś piękności nowej uczucie”.

20-letni Julek aplikował o posadę urzędnika w Komisji Rządowej Przychodu i Skarbu, która mieściła się w gmachach na placu Bankowym. Codziennie szedł spacerkiem do pracy, by stawić się na godz. 10. Gorzej było w zimie i w deszczowe dni, kiedy Elektoralna, jak i cała Warszawa, tonęła w błocie.

Ale były i jaśniejsze punkty tych peregrynacji. Na rogu Orlej, pod numerem 6, mieszkał w pałacu Wielopolskich pan Stanisław Węgrzecki, prezydent Warszawy, który miał trzy córki na wydaniu. Julek bywał u nich na herbatkach. Początkowo dziwił się, jako wychowany na Kresach, że dziewczyny wodziły rej w salonie, nadając wśród gości ton. Buzia w ciup i rączki w małdrzyk nie obowiązywały młodych warszawianek. Julkowi z pewnością się to podobało.

W sąsiedztwie adresu Elektoralna 12 mieszkali również, w różnych latach, poeta Antoni Malczewski oraz siostra Fryderyka Chopina – Izabella Barcińska, autorka książeczek dla dzieci.

Buraki i kurczęta

Jako najnowocześniejsza tego typu placówka w Warszawie szpital przy ul. Elektoralnej 12 działał do 25 września 1939 r., kiedy po zbombardowaniu stał się masowym grobem ok. 200 osób. Był oznaczony na dachu flagami z czerwonym krzyżem. Niemiecki pilot, wzięty do niewoli, zeznawał, że na mapach operacyjnych szpitale były zaznaczone, ale ich bombardowanie dowództwo pozostawiało do dyspozycji pilotom. Niestety, wykazywali się

Szpital Świętego Ducha w 1945 r.

Zdjęcia: Fotopolska, NAC

Zabudowania przy ul. Elektoralnej 12 po odbudowie, l. 50. XX w.

dużą determinacją, bo 25 września wszystkie szpitale warszawskie były zbombardowane.

Po zamknięciu getta 15 listopada 1940 r. cała Elektoralna znalazła się w jego obrębie. Trwało to do 15 sierpnia 1942 r. Gmach przy ul. Elektoralnej 12 był ruiną, jednak dla Żydów w dzielnicy zamkniętej miał ogromne znaczenie ze względu na ogród usytuowany na zapleczu. W całym getcie brak było terenów zielonych, a do uprawy warzyw i kwiatów wykorzystywano nawet balkony i podwórka. Ogrodem zainteresowała się działająca już przed wojną żydowska organizacja społeczna Toporol – Towarzystwo Popierania Rolnictwa. Organizowała kursy teoretyczne i praktyczne z zakresu rolnictwa. W czerwcu 1941 r. dziesięć dziewczynek i pięciu chłopców – przez dziesięć dni, po osiem godzin, a potem przez dwa tygodnie – odgruzowywało i przekopywało ogród, by wreszcie w suchej, choć pełnej jeszcze odłamków cegieł i szkła ziemi posadzić buraki, cebulę, pomidory. Odbywały się tu również zajęcia w ramach kursów uczących sadzić i pielęgnować rośliny. Sensacją na skalę getta, o czym donosiła prasa żydowska, było zorganizowanie w ogrodzie dwóch inkubatorów do wylęgu kurcząt. Oglądał je nawet prezes warszawskiego Judenratu Adam Czerniaków. Niestety, ptaki zaatakowane zostały przez cholerę drobiową i hodowla upadła.

W czasie Powstania Warszawskiego Elektoralna stała się ważną dla Niemców arterią prowadzącą z zachodu na wschód, z Woli – przez Chłodną, Elektoralną, Senatorską – do mostu Kierbedzia. O tę strategiczną ulicę toczyły się zacięte walki, szczególnie usilne – o barykadę przy Solnej. Po jej pokonaniu Niemcy wymordowali okolicznych mieszkańców, a zabudowę ulicy spalili. W znacznej części nadawała się do odbudowy, czego – niestety – z kilkoma wyjątkami nie uczyniono.

Po wojnie, przed podjęciem odbudowy, rozebrano dobrze zachowane mury wszystkich pawilonów oddziałowych. Fasada w gmachu frontowym ocalała – jest ona zatem oryginalna, natomiast zburzone były pozostałe ściany i tylko we frontonie osadzono nowe rzeźby i płaskorzeźby związane tematycznie z nową funkcją – domem kultury. Oryginalny (mimo pożaru) jest również lewy pawilon bramny (prawy w pełni zrekonstruowano w dawnym kształcie), blok operacyjny odtworzono w dawnej bryle, ale ze zmianą wyglądu elewacji, natomiast nowy zespół pawilonów na zapleczu nawet układem daleko odbiega od pierwowzoru.

Teraz już wiem, że „pod dwunastką” była manufaktura, szpital i grób zbiorowy. Tu ludzie rodzili się i umierali, tu pracowali.

Informacje nt. Tomasza Michała Dangla na podst.: E. Szulc, *Cmentarz ewangelicko-augsburski w Warszawie*, Warszawa 1989, s. 88-89

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Fakty i mity

Okupacyjne losy **Adolfa Dymszy**

Mateusz Pasternak

Wieczór, kolejny dzień w okupowanej Warszawie chyli się ku końcowi. Mieszkańcy pospiesznie zdążają do swoich domów, gwarne do tej pory ulice nagle pustoszeją. Zbliża się godzina policyjna, pora, kiedy Polaków obowiązuje bezwzględny zakaz poruszania się po mieście. Jednak w budynku przy al. Szucha 25 słychać gwar

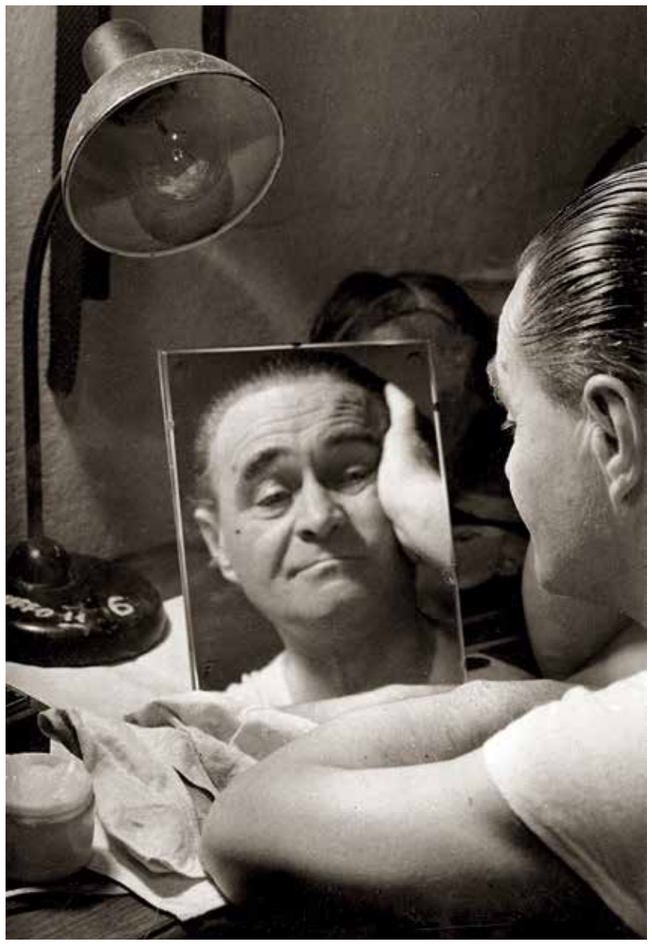

Już sam adres budzi grozę, bowiem to w tym miejscu ma swoją siedzibę Gestapo. Gmach, do niedawna zajmowany przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, stał się niemiecką katownią. Hitlerowcy prowadzą swoje przesłuchania z niewyobrażalnym okrucieństwem, wielu torturowanych Polaków ginie wskutek odniesionych obrażeń. Jednym z korytarzy idzie kilku umundurowanych gestapowców w towarzystwie mężczyzny w garniturze. Śmieją się, żartują. Cywil jest powszechnie znaną postacią, kojarzą go zarówno przetrzymywani Polacy, jak i Niemcy. To Adolf Dymsza. Sytuacja nie pozostawia złudzeń, wszystko wydaje się jasne...

Pomimo licznych oskarżeń Dodek nigdy nie utrzymywał zażyłych stosunków z Niemcami, a określanie go mianem zdrajcy czy kolaboranta było niesprawiedliwe i bardzo krzywdzące. Czemu więc miała służyć jego obecność w miejscu kaźni Polaków? Dymsza poszedł na Szucha, by uratować przyjaciela. Pomimo i wbrew wszystkiemu. W ręce Gestapo trafił aktor, Czesław Skonieczny, który był kolporterem prasy podziemnej. Sytuacja wydawała się beznadziejna, w grę nie wchodziła żadna łapówka. Za wiedzą podziemia Adolf Dymsza udał się do siedziby Gestapo, aby uchronić scenicznego kolegę przed niechybną śmiercią.

„Komedia" à la minute

Garść wrażeń z próby

Adolf Dymsza

bliźniemu

ADOLF DYMSZA

ZAPRASZA NA REWIĘ

pt. „Serwus Dymsza"

w NOWOŚCIACH Mokotowska 73.

Pocz. 17 i 19.30.

TEATRY I WIDOWISKA

Adolf Dymsza i Czesław Skonieczny dają koncert gry w skeczu „Kruszyna leży" w „Nowościach"

TEATRY

Tydzień na scenie

Z NOTATNIKA RECENZENTA

Czesław Skonieczny

Skoniczny i Dymsza

„Nie mieliśmy odwagi namawiać Dodka na tę bardzo ryzykowną wyprawę do jaskini lwa. Ale Dymsza uśmiechnął się blado i powiedział: «Najwyżej posiedzę w kozie, więc raz kozie śmierć! Dla Czesia warto». Nie zapomnę tego wieczoru, gdy Dodek wrócił z alei Szucha. Trudno go było poznać! Zestarzał się w ciągu kilku godzin. Blada twarz. W oczach łzy. «Jestem skończony. Jak ja się tam wygłupiałem. Dowcipkowałem, tańczyłem. Dla nich! Dla gestapowców! Wracając z trzeciego piętra, widziało mnie moc osób, widziało, jak odprowadzają mnie umundurowani gestapowcy, przeważnie Ślązacy, roześmiani, żartujący ze mną. Co pomyślą o mnie ludzie? Przecież tyle osób mnie zna». I Dymsza się rozpłakał. Nikt nie wiedział, że dzięki jego tragicznemu występowi po dwóch dniach wyszedł z więzienia Czesław Skonieczny" – czytamy na łamach książki Romana Dziewońskiego *Dodek Dymsza* (2010).

Adolf Dymsza, właściwie Adolf Bagiński, zaliczany do najwybitniejszych polskich artystów, zadebiutował na scenie w latach 20. XX w. Dzięki wyjątkowemu talentowi aktor piął się po kolejnych szczeblach kariery. Za sprawą swoich licznych ról filmowych stał się jedną z najbardziej popularnych przedwojennych gwiazd, święcił triumfy zarówno na terenie Polski, jak i za granicą. Z myślą o Dymszy teksty tworzyli m.in. Julian Tuwim i Marian Hemar, a on sam miał okazję występować z największymi. Dodek był powszechnie lubiany. Zaskarbił sobie sympatię wielu także tym, że zawsze, kiedy tylko miał możliwość, pomagał innym.

W czasie okupacji wielokrotnie brał udział w charytatywnych występach dla dzieci i rannych polskich żołnierzy, występował na koncertach na rzecz Rady Głównej Opiekuńczej. Pomagał ludziom, którzy trafili do getta, wspierał akcje organizowane przez polskie podziemie,

m.in. kolportował gazetki konspiracyjne. Adolf Dymsza miał świadomość swej popularności i wykorzystywał to, by ratować innych. To dzięki niemu mury Pawiaka opuściła jego przedwojenna partnerka sceniczna, Mira Zimińska. Dodek przez pewien czas ukrywał jej męża, Tadeusza Sygietyńskiego. Także dzięki Dymszy wolność odzyskał były inspicjent legendarnego teatrzyku Qui Pro Quo, Józef Porębski. Przez kilka miesięcy, narażając życie swoje i najbliższych, ukrywał w swym domu także słynnego przedwojennego iluzjonistę żydowskiego pochodzenia, Mieczysława L. Kittaya. Niewielu wie, że lista osób, którym Adolf Dymsza udzielił pomocy, jest bardzo długa…

Faktem jest, że Adolf Dymsza w czasie okupacji występował w jawnych teatrach, które znajdowały się pod niemiecką kuratelą. Warto jednak wspomnieć, że wstęp do nich mieli wyłącznie Polacy, a frekwencja na przedstawieniach była bardzo wysoka (ponad 80%). To, co po latach jest dla niektórych pretekstem do określania występujących wówczas artystów mianem kolaborantów, wtedy stanowiło dla wielu sposób na ucieczkę od wojennego koszmaru. Przed przystąpieniem do zespołu teatru Komedia Dymsza zwrócił się z prośbą o poradę do Stefana Jaracza, który był dla Dodka wielkim autorytetem. W odpowiedzi usłyszał: „Rób, co umiesz najlepiej. Daj ludziom trochę radości”.

Na deskach jawnych teatrów występowała liczna grupa wybitnych artystów: Józef Orwid, Kazimierz Junosza Stępowski, Mira Zimińska, Lidia Wysocka, Maria Malicka i wielu innych. Do legendy przeszły aluzje Dymszy ośmieszające Niemców, które błyskawicznie obiegały Warszawę. Z pozoru niewinne żarty mogły go kosztować życie, jednak wciąż przemycał do swego repertuaru treści wyszydzające okupanta, z jego niemieckim imiennikiem na czele. Adolf Dymsza nigdy nie wystąpił w żadnej sztuce o zabarwieniu antysemickim czy antypolskim, także nie wziął udziału, pomimo nacisków, w antypolskich filmach propagandowych.

Po wojnie, w wyniku wewnętrznych rozgrywek środowiska aktorskiego, Dymsza stanął przed komisją weryfikacyjną Związku Artystów Scen Polskich, która miała poddać ocenie jego udział w tzw. jawnych teatrzykach. Usiłował się bronić, nie mógł jednak powołać wszystkich świadków, którzy potwierdziliby jego wersję wydarzeń – niektórzy z nich byli związani z Armią Krajową. Wyjaśnień nie złożyła Mira Zimińska. A sytuacja Dodka pogarszała się coraz bardziej.

Adolf Dymsza został zawieszony w prawach aktorskich do 31 grudnia 1945 r. Od 1 stycznia 1946 r. mógł dalej występować zarówno w filmach, jak i w radiu oraz na scenach na terenie całego kraju, jednak z zastrzeżeniem, że 15% jego wynagrodzenia będzie trafiało na rzecz Domu Weterana Artysty w podwarszawskim Skolimowie. Mimo to w dalszym ciągu uniemożliwiano Dymszy występowanie w Warszawie. Na deskach stołecznego teatru aktor po raz pierwszy pojawił się dopiero w 1951 r., a więc cztery lata po przeniesieniu teatru Syrena z Łodzi. Stefania Grodzieńska wspo-

minała, że dzień przed generalną próbą do komedii *Bliźniak*, w której Dodek występował z wielkim powodzeniem w łódzkiej Syrenie, dyrekcja teatru otrzymała bezwzględny zakaz obsadzenia Dymszy w spektaklu, który miał się odbyć na scenie przy ulicy Litewskiej. Echa okupacyjnej przeszłości towarzyszyły mu do końca życia.

Obecnie, po ponad siedmiu dekadach, w dalszym ciągu pojawiają się artykuły na temat domniemanej współpracy Dodka z okupantem. To nie przebogaty dorobek artystyczny tego wybitnego aktora jest przedmiotem rozważań, tylko rozstrzygnięcie, czy Adolf Dymsza był kolaborantem i zdrajcą, czy też nie. Media rządzą się swoimi prawami; chwytliwy tytuł czy kontrowersyjna treść robią swoje. Należy sobie jednak zadać pytanie: za jaką cenę? Jeśli mianem kolaboranta określamy kogoś, kto współpracuje z okupantem, jak nazwiemy osobę, która nierzadko z narażeniem własnego życia ratowała innych? Wszelkie kontakty Dymszy z Niemcami były wymuszone i często wynikały z obawy o dalsze losy jego bliskich czy przyjaciół. Bertolt Brecht powiedział kiedyś, że „kto nie zna prawdy, ten jest tylko głupcem. Ale kto ją zna i nazywa kłamstwem, ten jest zbrodniarzem”.

Mateusz Pasternak – inicjator akcji *Dodkowi*, upamiętniającej Adolfa Dymszę

Korzystałem z książki Romana Dziewońskiego *Dodek Dymsza*, Wydawnictwo LTW, 2010; zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego Adolfa Dymszy

Będzie słodko

Przy ul. Marszałkowskiej 9/15 powstaje Muzeum Prawdziwej Czekolady. Co ciekawe, Muzeum to jest współtworzone przez osoby z zewnątrz! Organizator, Manufaktura Czekolady Chocolate Story, uruchomił społeczną akcję pozyskiwania pamiątek związanych z historią i produkcją czekolady, która potrwa do końca grudnia. Inicjatywa cieszy się ogromną popularnością – na Marszałkowską spływają eksponaty z całej Polski, a wiele osób osobiście przynosi swoje pamiątki. Na uczestników czekają zestawy czekolad i nagrody pieniężne. Od początku akcji, czyli od końca września br., udało się zebrać wiele wartościowych przedmiotów z lat 50., 60. i 70., np. ręcznie zdobione etykiety, pudełka po czekoladach i czekoladkach m.in. firm Wedel i Wawel. Wyjątkowym eksponatem jest międzywojenna puszka po wyrobach czekoladowych fabryki Hazet z Lwowa. Zwiedzający przyszłe Muzeum Prawdziwej Czekolady pozyskają tu wiedzę o historii, pochodzeniu, produkcji, a nawet obecności czekolady w kulturze. Uzupełnieniem części edukacyjnej będzie część praktyczna – warsztaty czekoladowe.

Tradycyjne wizyty w Muzeum Prawdziwej Czekolady i innych muzeach oraz instytucjach kultury musimy niestety odłożyć na czas pandemicznej „odwilży”, ale pozostaje nam wirtualne oglądanie zbiorów (polecamy np. *Darmowy listopad w rezydencjach królewskich* **online**) lub zwiedzanie na łamach STOLICY – u nas placówki kultury są zawsze otwarte! W tym numerze składamy wizyty w Muzeum Historii Polski, Muzeum Narodowym w Krakowie, na Zamku Królewskim w Warszawie i w Mazowieckim Instytucie Kultury. ●

Szara Warszawa na wynos

Osiedle Szare Domy to doskonały przykład warszawskiego modernizmu z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Nic dziwnego, że temu wyjątkowemu kompleksowi zabudowy dedykowano specjalny festiwal, którego 5. odsłona właśnie trwa. W tym roku jest to jednak całkiem inne niż dotychczas wydanie imprezy, bo jak – w dobie pandemii – zorganizować festiwal bez… festiwalu? A jednak się udało! *Szare Domy Festiwal Otwarty* przybrał w tym roku wersję *Szare Domy na Wynos* i oparty został na trzech punktach możliwych do realizacji mimo utrudnień związanych z covid-19: ogólnodostępna wystawa i spacer, strona www i publikacja. Temat przewodni 5. edycji SDFO to *Pamiętajcie o ogrodach*. Słowa kultowej piosenki Jonasza Kofty nabierają nowego znaczenia w dobie koronawirusa, a organizatorzy Festiwalu podkreślają, że kontekst tegorocznej edycji jest „…zielony i prosty. Mówiący o środowisku bez naukowej narracji raportów i prognoz. Budujący emocje wokół zmian klimatycznych z perspektywy lokalnego trawnika, miejskich podwórek, parków i skwerów”.

Tegoroczna edycja *Szare Domy Festiwal Otwarty*” potrwa do 21 grudnia 2020 r. ●

Zbiory Muzeum Warszawy – bohaterami audioreportaży. Za muzealnymi eksponatami kryją się niezwykłe historie, ludzkie losy i nieznane dotąd fakty. Małpka „Peemek", portret nigeryjskiego powstańca Augusta Agboli O'Browna i pomnik warszawskiej Syrenki to trzy eksponaty, które stały się punktem wyjścia do prezentacji losów ludzkich. Fragmenty nagrań powstałych we współpracy Storytel i Muzeum Warszawy w ramach projektu *Audioreportaże. Warszawskie opowieści bez fikcji* można przesłuchać na muzeumwarszawy.pl/storytel.

Budynek dawnego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów przy ulicy Siennej jest już własnością Muzeum Warszawskiego Getta – marszałek Adam Struzik i dyrektor muzeum Albert Stankowski podpisali umowę na zakup nieruchomości. Muzeum jest placówką w organizacji, w tej chwili trwają prace nad ekspozycją stałą, realizowane są ekspozycje plenerowe i działania edukacyjne. Sam gmach szpitala powstał w latach 1876-1878, leczono tu dzieci bez względu na wyznanie.

Na listopad przypada 10. rocznica otwarcia Centrum Nauki Kopernik. W ciągu tych lat placówkę odwiedziło 10 mln gości. CNK jest placówką badawczo-rozwojową, miejscem łączącym naukę, edukację i kulturę. Dzieci, młodzież i dorośli mogą tu samodzielnie eksperymentować, prowadzić doświadczenia, sprawdzać, badać i poznawać świat niemal we wszystkich jego sferach. CNK jest także jednym z ulubionych miejsc warszawiaków oraz żelaznym punktem na trasie wycieczek z innych miast. Teraz czekamy na Pracownię Przewrotu Kopernikańskiego!

Miejska instytucja Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy przyjmuje pod swoje skrzydła usunięty z anteny TVP Kultura „Tygodnik Kulturalny". Obecny na antenie 15 lat, cieszący się dużą popularnością magazyn będzie się teraz ukazywał w wersji internetowej, jako „Nowy Tygodnik Kulturalny", na platformie VOD – prawdopodobnie już od stycznia 2021 r.

Jarosław Zieliński (reżyser) i Wiktor Strumiłło (autor zdjęć) na planie filmowym

Architektura Warszawy online

Mroki Warszawy średniowiecznej i blask Warszawy wazowskiej, przepych stołecznego baroku i klasycyzm Warszawy stanisławowskiej, złota epoka polskiej urbanistyki czy spacer po dekadzie pary i gazu – to wszystko już na wyciągnięcie ręki, w zaciszu domowym, niezależnie od jesiennej słoty czy pandemii. Fundacja Hereditas zrealizowała cykl wirtualnych spacerów – wykładów o architekturze Warszawy od średniowiecza do socrealizmu. Autorem scenariuszy, reżyserem, przewodnikiem i prezenterem jest zastępca redaktor naczelnej STOLICY Jarosław Zieliński. Cykl *Tajemnice warszawskiej architektury* obejmuje 10 odcinków, prezentujących zabytki Warszawy. Jest coś dla wielbicieli secesji i wczesnego modernizmu, są meandry warszawskiej „kariery" żelbetu i prezentacja „pięknych dzielnic" (Żoliborza, Ochoty, Saskiej Kępy), gmachów rządowych i publicznych, WSM i tanich mieszkań. Są blaski i cienie odbudowy po 1945 r., a także „hity" realizmu socjalistycznego. Wszystkie spacery nagrywane były w terenie, z warszawską architekturą różnych epok w tle, w „przebitkach" zaprezentowano zdjęcia archiwalne, plany, mapy. Filmy opatrzone są napisami u dołu ekranu, które ułatwią odbiór osobom z deficytami słuchu. STOLICA jest patronem medialnym projektu.

Cały cykl wirtualnych wędrówek, zrealizowany ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach programu Kultura w sieci, dostępny jest bezpłatnie np. na kanale YouTube Fundacji Hereditas: youtube.com/user/FundacjaHereditas. ●

Zdjęcia: K. Komor-Michalczyk; Narodowy Instytut Dziedzictwa

Szanuj zabytki!

Dewastowanie i niszczenie zabytków jest przestępstwem i podlega surowym karom! Niestety, nie każdy ma tego świadomość, dlatego Narodowy Instytut Dziedzictwa uruchomił kampanię społeczną *Zabytki to Twoje dziedzictwo. Nie pozwól niszczyć. Reaguj!* Z badań zrealizowanych na zlecenie NID wynika, że Polacy chętnie zwiedzają zabytki. Z drugiej strony kto z nas nie zna dewastowanych do granic możliwości komunalnych kamienic („bo nie moje"), pomazanych bazgrołami elewacji historycznych budynków („bo mam coś do przekazania" – czyżby?!), zniszczonych przydrożnych kapliczek („stare zabobony") i innych przejawów w najlepszym razie ignorancji lub niechęci, a w najgorszym nawet agresji wobec zabytków („czy to musi tak straszyć?!"). Jak wynika z badań NID, Polacy nie czują się współwłaścicielami zabytków – dotyczy to zwłaszcza ludzi młodych, w wieku 18-29 lat. Kampania NID ma na celu zwrócenie uwagi na niebagatelną rolę historycznych obiektów w kształtowaniu tożsamości kulturowej, pokazanie różnorodności zabytków, wreszcie – przypomnienie o odpowiedzialności za zabytki jako wspólne dobro. Ważnym aspektem kampanii jest uświadomienie, jak różne mogą być przestępstwa wobec dziedzictwa – to nie tylko podpalenie drewnianego kościoła czy zniszczenie nagrobka na historycznym cmentarzu, lecz także np. kradzież metalowych detali architektonicznych – tralek z balustrad, odbojów, drzwiczek od pieców – z wysiedlonej kamienicy. Ze wszech miar popieramy akcję NID, z drugiej strony pytamy – czy naszemu społeczeństwu wystarczy samo uświadamianie? Naszym zdaniem nie. To, co na wyobraźnię potencjalnego wandala podziała najsilniej, to bezpardonowe, konsekwentnie wymierzane i szeroko – ku przestrodze innych – nagłaśniane kary. ●

Ofiarą wandali często padają zabytkowe mury

Baza polskiej muzyki

Powstał Portal Muzyki Polskiej – syntetyczna baza informacji na temat twórców muzyki, trendów myślowych i społeczeństwa polskiego w latach 1795-1918. Portal podzielono na 27 witryn poświęconych kompozytorom zarówno mniej znanym, jak Ignacy Feliks Dobrzyński, Franciszek Lessel, Józef Krogulski, Franciszek Mirecki, Maria Szymanowska, jak i tym bardziej popularnym, jak Mieczysław Karłowicz, Stanisław Moniuszko czy Juliusz Zarębski. Na zainteresowanych czekają m.in. biogramy twórców, pełne katalogi ich dzieł, kalendaria życia i twórczości, bibliografia, ikonografia, nagrania. To nie wszystko, bo autorzy portalu zapowiadają w przyszłości publikowanie dokumentów filmowych oraz wypowiedzi znawców i interpretatorów dorobku polskich kompozytorów. Multimedialna, wielowarstwowa platforma, dostępna pod adresem www.portalmuzykipolskiej.pl, jest pierwszym centrum pełnej i usystematyzowanej wiedzy o wybranych polskich twórcach z czasu zaborów. ●

P. Mazurkiewicz

Drewniane Mazowsze

Zjawiskowe kościoły, oszałamiające dwory, młyny i wiatraki, chałupy z kolorowymi okiennicami, spichlerze i inne drewniane zabytki Mazowsza czekają na odkrywanie! W ramach projektu *Drewniane Mazowsze – społeczne wytyczanie szlaków turystycznych* – Fundacja Hereditas przy udziale wolontariuszy wytyczyła 60 szlaków rowerowych i 20 szlaków samochodowych.

Na trasach, przygotowanych w wariancie rodzinnym (łatwiejszym) i „aktywnym" (trudniejszym, dla wymagających), zaznaczono – prócz samych zabytków – także miejsca, gdzie można skosztować kuchni regionalnej, kupić lokalnie wyrabiane produkty czy znaleźć atrakcje dla najmłodszych. Szlaki rowerowe wytyczono w oparciu o istniejącą sieć komunikacyjną kolei mazowieckich, dzięki czemu do węzłowych punktów można dojechać koleją i dopiero tam wsiąść na swój rower. Na mapach podano także informacje o wybranych obiektach noclegowych, pozwalające zaplanować wyjazdy wielodniowe. Wszystkie szlaki zebrano na: fundacja-hereditas.pl/2020-2/drewniane-mazowsze-2/. ●

Tramwaje w domu

Pandemia koronawirusa sprawiła, że w tym roku Warszawa nie mogła obchodzić Dni Transportu Publicznego i zaprosić warszawiaków do zwiedzania niedostępnych na co dzień miejsc i obiektów, w tym – zabytkowych tramwajów. Ale nowoczesne technologie pozwalają zwiedzać zabytkowe miejsca bez ruszania się z domu.

Wirtualne muzeum tramwajów w zajezdni na Woli powstało dzięki zestawowi kamer wykonujących zdjęcia 360 stopni oraz technologii Google Street View. Można zobaczyć aż osiem wagonów – najstarszy pamięta jeszcze czasy cara Mikołaja II, z 1905 r. Najmłodszy jest tramwaj promocyjny, do przewożenia wycieczek. Jest też najbardziej „warszawski z warszawskich" tramwajów, czyli unikatowa parówka z lat 60., a także tramwaj kabriolet z lat 30. czy przepiękny wagon techniczny z lat 20. Aby rozpocząć spacer po wagonie, wystarczy wejść na „wizytówkę" Tramwajów Warszawskich w Mapach Google albo znaleźć zajezdnię na Woli i najechać figurką widoku ulicznego na teren zakładu. ●

Chopinowski neon

Konkurs na neon chopinowski został rozstrzygnięty! W ciągu 10 dni głosowania oddano ponad 4 tys. ważnych głosów. Głosowali wielbiciele Fryderyka Chopina z całego świata. Internauci wybrali projekt autorstwa Jana Strumiłły i Anny Libery. W zamkniętym konkursie zorganizowanym przez Instytut Chopina wzięły udział trzy projekty. Ich wizualizacje można było obejrzeć na oficjalnym fanpage'u Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina na Facebooku. Tam również można było oddać głos. Neon chopinowski rozbłyśnie na murze Muzeum Fryderyka Chopina przy ulicy Tamka w Warszawie już 18 grudnia.

Kolej na relaks

W znaczeniu potocznym relaks to odpoczynek połączony z rozrywką, do której zaliczane są m.in. sport i turystyka. Te dwa wątki, wpisane w działalność środowiska kolejarskiego, przeplatają się na otwartej pod koniec listopada wystawie w Muzeum Sportu Turystyki w Warszawie.

Krótko po odzyskaniu niepodległości kolejarze zaczęli tworzyć swoje pierwsze kluby. Jednym z nich była prezentowana na wystawie „Olsza" Kraków, która powstała w 1921 r. Sześć lat później, z inspiracji władz sanacyjnych, założono branżową organizację Kolejowe Przysposobienie Wojskowe (KPW). Wśród 500 powstałych ognisk KPW co piąte prowadziło sekcje sportowe i turystyczne. Założona w 1956 r. Federacja Sportowa „Kolejarz" miała pod swoją opieką niemal 150 klubów kolejarskich, zrzeszających ok. 30 tys. członków.

O tym niezwykle zróżnicowanym i aktywnym środowisku przypominamy, opowiadając historie wybranych klubów, a także związanych z nimi zawodników. Najbardziej znanym jest żużlowiec Jerzy Szczakiel (1949-2020), który przez całą karierę związany był z „Kolejarzem" Opole. Jego największe sukcesy na torze to dwukrotne zdobycie tytułu Mistrza Świata – w kategoriach: Indywidualnie (1973) i Parami (1971, wspólnie z Andrzejem Wyglendą). Na ekspozycji możemy zobaczyć m.in. motocykl mistrza czy wywalczony przez niego „srebrny kask".

Postać dziś już nieco zapomniana to Jerzy Wojnar (1930-2005), odnoszący sukcesy w szybownictwie (w latach 1954-1955 ustanowił trzy rekordy świata) i saneczkarstwie. W tej drugiej dyscyplinie, z którą zetknął się przypadkowo podczas zgrupowania szybowników w Karpaczu, został m.in. dwukrotnym saneczkarskim mistrzem świata (1958 i 1961). Walcząc o pierwszy tytuł mistrzowski, był zawodnikiem kolejarskiej „Olszy" Kraków.

Pasjonaci lekkoatletyki znajdą na wystawie trofea Krystyny Kuty (z domu Chmarzyńskiej). To specjalistka od biegów długodystansowych, dwukrotna mistrzyni Polski w maratonie (1990 i 2006). Po swoje pierwsze mistrzostwo sięgnęła w barwach TKKF „Kolejarz" Bydgoszcz, będąc wówczas... kasjerką na jednej ze stacji kolejowych pod Grudziądzem.

Sport kolejarski to nie tylko wyczyn, lecz także znakomita popularyzacja różnych form aktywności poprzez organizowanie mistrzostw, spartakiad, turniejów oraz wycieczek turystycznych dla pracowników kolei i ich rodzin. W tej części ekspozycji nie zabrakło fotografii, unikatowych dokumentów, odznak, a także pucharów i medali.

Wystawa powstała we współpracy Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie ze Stacją Muzeum w Warszawie, Stowarzyszeniem Krzewienia Sportu, Kultury i Turystyki „Kolejarz", a także miłośnikami i kolekcjonerami kolejowymi z Mazowsza i innych regionów Polski.

Wystawa *Kolej na relaks. Sport i turystyka w życiu kolejarzy*, Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, listopad 2020 – styczeń 2021

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Cjankali na Strajk Kobiet

Anna Kuligowska-Korzeniewska

Kiedy trwał Strajk Kobiet, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy zaprezentował, 9 listopada 2020 r., w trybie online, słynny dramat – który się silnie zaktualizował! – wzywający do „legalizacji poronień", czyli – jak to określano przed wojną – prawa do aborcji. Odczytano dramat Friedricha Wolfa *Cjankali*, wystawiony w tłumaczeniu Jacka Frühlinga przez Leona Schillera w Teatrze Miejskim w Łodzi (prem. 14 stycznia 1930 r.). Bohaterka dramatu, 20-letnia Hete, zachodzi w ciążę, ale jest zmuszona pozbyć się „owocu miłości", ponieważ traci pracę, a jej owdowiała matka z trójką małych dzieci żyje w nędzy, mieszkają w piwnicy. Traci także pracę narzeczony Hete – Paul – przywódca strajku i działacz związkowy, który trafia do więzienia po włamaniu się do fabrycznego konsumu po jedzenie dla rodziny Hete i sąsiadów. Hete bezskutecznie szuka ratunku w gabinecie lekarskim, ale nie jest „bogatą damą", którą stać na nielegalny zabieg. Najpierw okalecza się sama, przy pomocy wykradzionej strzykawki, potem udaje się do miejscowej akuszerki. Ta również odmawia pomocy, ale – za 10 marek – ofiarowuje buteleczkę z trucizną, właśnie z tytułowym „cjankali" (cyjankiem). Podaje go Hete jej matka, która ulewa więcej kropli, aniżeli zaleciła akuszerka. Straszliwe bóle i gorączka dziewczyny każą sprowadzić lekarza. Ten zgłasza policji, że złamano prawo – nie można było ukryć „śladów krwi stąd do ustępu, no i w wiadrze na śmieci...". Do izby, w której na łóżku leży Hete, wkracza policja, prowadząc skutego kajdankami Paula. Broniąc się przed posądzeniem, że to on dokonał aborcji, Paul oskarża „demokratyczne państwo" i jego prawo, które winne są śmierci tysięcy biednych kobiet. Do podania śmiertelnych kropli przyznaje się matka umierającej dziewczyny: „Każdy powinien to zrobić, zanim wszyscy od tego pozdychamy!!!". Zostaje aresztowana, w suterenie zostaje sama Hete. Jej ostatnie słowa, zamykające dramat, stanowią zarazem jego przesłanie: „Tysiące... muszą... tak umierać... czy nikt nam nie pomoże...?".

Friedrich Wolf, dobrze znający – jako lekarz – problemy zdrowotne ówczesnego środowiska robotniczego, napisał *Cjankali* (*Cyankali*) w 1928 r. Atakował w nim słynny paragraf 218 – o którym mowa jest też w sztuce – kodeksu karnego Rzeszy Niemieckiej, który przewidywał: „Ciężarnej, która umyślnie spędza płód albo zabija go w macicy, grozi kara ciężkiego więzienia do lat pięciu. Te same postanowienia dotyczą osób, które za pozwoleniem ciężarnej zastosowały u niej środki do spędzenia lub zabicia płodu".

Premiera polska *Cjankali* zbiegła się z walką o usunięcie z kodeksu karnego artykułów 465 i 466, odziedziczonych po zaborach, a „nielicujących z Majestatem wolnej Rzeczypospolitej" i równie brutalnych jak w Niemczech. Pisał o tym Tadeusz Boy-Żeleński w wydanym w 1930 r. głośnym zbiorze rozpraw pt. *Piekło kobiet*: „Gdyby zestawić wypadki śmiertelne młodych kobiet, wypadki ciężkich i trwałych schorzeń, które z obecnego bezdusznie podtrzymywanego stanu rzeczy wynikają, zadrżeliby może ci, którzy w zaciszu wygodnego gabinetu układają swoje ustawy. A gdy doliczyć inne, pośrednio wynikające z nich skutki: samobójstwa, dzieciobójstwa i inne klęski, wówczas zrozumielibyśmy, z jaką słusznością nazwano ten artykuł «największą zbrodnią prawa karnego»".

Boy uświadomił grozę położenia kobiet w następującym porównaniu: „Gdyby prawo zechciało działać, trzeba by dla samej Warszawy zbudować więzienie rozmiarów sporego miasta, aby tam co rok pomieścić kilkadziesiąt tysięcy dobrowolnie roniących kobiet".

Krytyk obejrzał *Cjankali* w czerwcu 1930 r. w warszawskim Teatrze Capitol przy ulicy Marszałkowskiej, dokąd przeniósł się teatr łódzki (i pozostał tu aż do końca września). Był to najbardziej oblegany spektakl. W niedziele i święta grano go dwukrotnie. I jak w Łodzi, tak w Warszawie towarzyszyły mu awantury na widowni. Niemal każdego wieczoru rozpuszczano trujące gazy i wznoszono okrzyki: „Precz z pornografią!", „Precz z bolszewią na scenie!". Sztuka Wolfa – przyznawał Boy – „nie ma wielkich pretensji do literatury, ma ona szansę trwałości – po prostu jako dokument. Kiedyś – któż zgadnie kiedy? – gdy cała ta kwestia pozostanie tylko koszmarem wspomnienia, jak tortury, jak inkwizycja, jak niewolnictwo, świat będzie ze zdumieniem oglądał dokument czasów, gdy ludzie tak nieludzko i głupio pastwili się nad samymi sobą".

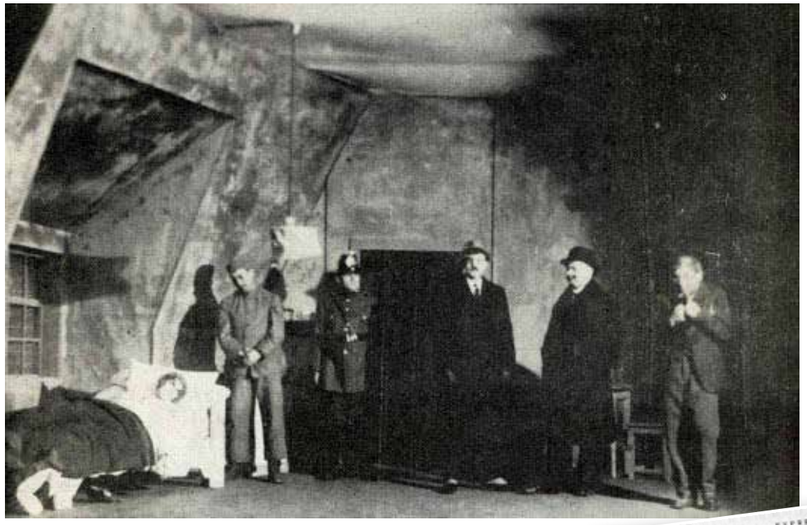

Wikipedia

Premiera *Cjankali* Friedricha Wolfa w Łodzi, 14 stycznia 1930 r.

Nr. 21. Łódź, Środa 22 stycznia 1930r. Rok II

GŁOS PORANNY

DZIENNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY I LITERACKI

Cena 25 groszy

ZNOWU NIEPOCZYTALNE WYBRYKI

na przedstawieniu „Cjankali" w teatrze miejskim

Reflektory i policja w pogotowiu. – Gaz łzawiący. – Wylegitymowany gość z loży balkonowej

WYDANIE ILUSTROWANE

Afera Leona Schille

apostoła czerwonego teatru.

Wojna przeciw Schillerowi.

Karjera Schillera.

Ilustracja STRAJK KOBIET

To „po swojemu" odnosiło się do interwencji biskupów Kościoła katolickiego, których Boy („antychryst" – jak się sam określił) nazwał wyzywająco „naszymi okupantami". W ich imieniu Kongregacja Jasnogórska, Sodalicja Mariańska Pań, Towarzystwo Ochrony Kobiet, Narodowa Organizacja Kobiet i inne ogłosiły „Protest przeciwko sztuce pt. *Cjankali* jako wysoce niemoralnej, przeciwnej nauce Kościoła i tradycji Rodziny Chrześcijańskiej".

Znamienne, że od 90 lat żaden teatr w Polsce nie odważył się wystawić dramatu Friedricha Wolfa, choć zyskał on nowe tłumaczenie (Sławy Lisieckiej i Zdzisława Jaskuły) oraz został wydrukowany po polsku (po raz pierwszy) w 2015 r. przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego.

Zob. *Faktomontaże Leona Schillera: Polityka społeczna R.P., Cjankali, Krzyczcie, Chiny!*, red. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Warszawa 2015; Tadeusz Boy-Żeleński, *Pisma*, t. 15, Warszawa 1958

Kropka nad **i** czy nadal znak zapytania**?**

Rafał Skąpski

Tę książkę należy przeczytać! Tak powinna wyglądać najkrótsza recenzja najnowszej książki prof. Tomasza Szaroty pt. *Tajemnica śmierci Stefana Starzyńskiego*, ale pozycja naukowa autora, waga książki, sprawa w niej poruszona wymagają poważniejszej oceny i poważniejszej refleksji

Niewątpliwie książka ta to lektura dla wszystkich zainteresowanych okresem międzywojnia, II wojną światową i pierwszymi miesiącami okupacji. To lektura dla miłośników Warszawy, wielbicieli biografii, ale nie tylko. To także pasjonująca opowieść w stylu detektywistycznym. Autor prowadzi nas tropem swoich poszukiwań, poprzez dokumenty z archiwów, weryfikuje ustalenia dwóch oficjalnych śledztw, odległych od siebie w czasie i historycznym kontekście. Przedstawia swoje wątpliwości i przypuszczenia – ale kiedy kończymy czytanie, pozostawieni jesteśmy własnemu osądowi. Mówi nam niejako: oto macie wszystko, do czego dotarłem, oceńcie i sami podejmijcie decyzję, która z wersji śmierci prezydenta Starzyńskiego jest bardziej przekonująca.

Tomasz Szarota wyszedł z założenia, i słusznie, że czytelnik jego książki będzie wiedzieć, kim był Stefan Starzyński i jaką robił karierę w sanacyjnej polityce. Kto tego nie wie, jest przez profesora odsyłany do cytowanych prac biografów Starzyńskiego, przede wszystkim do książki prof. Mariana Marka Drozdowskiego czy prac Dariusza Baliszewskiego i Macieja Józefa Kwiatkowskiego. To nieczęste, by tak sumiennie i z taką atencją wskazywać źródła. Z atencją zaś w tym przypadku nie znaczy, że nie bez prostowania pewnych pomyłek czy opuszczeń w cytowanych dziełach.

Zasadniczą wartością książki, poza podjęciem próby rozwikłania tytułowej zagadki, jest to, że czytelnik taki jak ja – nienastawiony zbyt entuzjastycznie do polityki obozu pomajowego w Polsce – nabiera dla bohatera, prominentnego przedstawiciela tego ugrupowania, szacunku i uznania. Autor wspomina o przedwojennych funkcjach i konotacjach politycznych Starzyńskiego tylko w związku z tym, że w październiku 1939 r. pojawił się w Warszawie Stanisław Olpiński (Ołpiński). Był to najprawdopodobniej agent niemieckiej Abwehry i być może Gestapo, któremu w 1932 r. Starzyński wytoczył proces o zniesławienie i go wygrał. Było to pomówienie Starzyńskiego o udział w tzw. aferze drożdżowej.

Śledząc przedstawioną w książce, niemal dzień po dniu, działalność Starzyńskiego we wrześniu i październiku 1939 r., nabieramy przeświadczenia, że był to jeden z niewielu prawdziwych bohaterów narodowych w tamtej, sanacyjnej ekipie. Kilkakrotnie namawiany, mając realne i bezpieczne warunki do ucieczki – śladami politycznych przyjaciół za granicę – stanowczo odmawiał: „Zostaję na posterunku. Trzeba bronić Warszawy. Nieszczęsne miasto. Nie mogę opuszczać Warszawy. Zostaję. [...] pozostanę wśród swoich warszawiaków, którzy są bezbronni i narażeni na wszelkie przykre konsekwencje". Gdy jakiś czas później opracowano bardzo precyzyjny plan zniknięcia Starzyńskiego i ukrycia go w podziemiu ze zmienionymi personaliami, ponownie odmówił. A był to wręcz filmowy scenariusz, zakładający pogrzeb zwłok jednej z ofiar nalotów, podobnej fizycznie do prezydenta miasta, przy użyciu jego dokumentów. Odpowiedział: „[...] nie wolno mi tego uczynić. [...] Tak długo, jak mi pozwolą Niemcy, nie opuszczę ludu Warszawy i będę dla niego pracował [...]". Później zaplanowano jego ucieczkę z Pawiaka. Organizatorzy usłyszeli odmowę: „Zostanę, za wielu spośród was zapłaciłoby za mnie życiem, wytrwam do końca".

Przyczynił się Stefan Starzyński do stworzenia, 27 września 1939 r., Służby Zwycięstwu Polski, a tym samym do zaczątków Polskiego Państwa Podziemnego. Prace przygotowawcze, umożliwiające wystawianie fikcyjnych dokumentów, wedle cytowanego przez Szarotę związanego z PPS-em Zygmunta Zaremby rozpoczęły się co najmniej tydzień wcześniej. A skoro o PPS-ie mowa, to warto za autorem powtórzyć, iż Stefan Starzyński, w obliczu zagrożenia Warszawy, i szerzej, zagrożenia Polski, jako jedyny tej rangi polityk obozu rządowego rozpoczął ścisłą współpracę „ponad podziałami" z socjalistą Mieczysławem Niedziałkowskim. Generał Juliusz Rómmel ówczesną postawę i działalność obu polityków, Starzyńskiego i Niedziałkowskiego, stawiał i oceniał na równi. Poza Niedziałkowskim wśród polityków niebędących sympatykami sanacji, z którymi we wrześniu 1939 r. zaczął Starzyński współpracować, wymienia Szarota Kazimierza Pużaka (PPS), a także ludowców Macieja Rataja i Stefana Korbońskiego oraz przedstawiciela Stronnictwa Demokratycznego prof. Mieczysława Michałowicza. Jeśli nawet nie świadczy to o zmianie poglądów, czego prof. Szarota nie wyklucza, to na pewno dowodzi realizmu politycznego Starzyńskiego i potwierdza wymiar jego postaci.

W badaniach (przeprowadzonych w 1973 i 2009 r.) dotyczących wyboru najbardziej zasłużonych dla kraju podczas II wojny światowej postaci ankietowani dwukrotnie umieścili Starzyńskiego w pierwszej dziesiątce.

W sposób fascynujący prowadzi swego czytelnika Tomasz Szarota przez gąszcz zbieranych przez lata informacji o losie prezydenta Starzyńskiego po jego aresztowaniu 27 października 1939 r. Po pierwsze weryfikuje datę i przekonywająco, wśród różnych wersji, tę właśnie potwierdza. A relacje o dalszych kolejach życia prezydenta Warszawy są sprzeczne ze sobą, wykluczające się, fałszywe, mało prawdopodobne, niepewne... W zbyt wielu przypadkach okazuje się, że ci, którzy mogli mieć coś do powiedzenia na temat losu Starzyńskiego, nie byli wysłuchani lub przesłuchiwani na inny temat. Mam na myśli śledczych amerykańskich spisujących zeznania nadzorców obozu w Dachau, dla których Starzyński zapewne był postacią nieznaną. Na kilka innych jeszcze tego typu zaniedbań, niestety, już nie do naprawienia, wskazuje prof. Szarota.

Zastanawiające, że życie (lub śmierć) jednego człowieka mogła być i jest powodem snucia tak wielu wariantów domysłów. Niewątpliwie Stefan Starzyński był więźniem specjalnego zainteresowania hitlerowskich władz. Podobnie jak w przypadku Stefana Roweckiego „Grota" okupant mógł mieć kilka pomysłów, jak i do czego wykorzystać prominentnego, rozpoznawalnego i cieszącego się autorytetem więźnia. Dlatego mógł być Starzyński przetrzymywany w więzieniu, w obozie, by w odpowiednim momencie zostać wykorzystanym – pod przymusem – jako kolaborujący z najeźdźcą rzecznik wspólnego frontu oporu i walki z nacierającą armią radziecką, a wedle jednej z wersji jako szef polskiej administracji w Warszawie. To teoria mająca na swe potwierdzenie, jak dowodzi autor, wiele dowodów. Różnej wagi, ale jednak. Wedle nich prezydent Starzyński był niezłomny, za każdym razem odmawiał – za każdym razem świadomie, że jest to jednocześnie wyrok na samego siebie.

Tomasz Szarota stawia nas przed zadaniem dokonania własnej oceny tego, czy bardziej przemawia do nas wersja śmierci Stefana Starzyńskiego jeszcze w 1939 czy dopiero w 1943 r., a może pomiędzy tymi datami. Uważny czytelnik rozpozna bez trudu, za którą wersją opowiada się autor. Zachęcam do lektury. Zachęcam też do dalszego śledzenia tematu, bo – jak zaznacza prof. Szarota – jest bardzo prawdopodobne, że hitlerowskie akta z gmachu Gestapo przy alei Szucha mogą znajdować się w zbiorach rosyjskich. A gdzie mogła trafić dokumentacja KL Dachau, jeśli hitlerowcy nie zniszczyli jej doszczętnie? Stawiam tezę, że ze względów szczególnej ostrożności Niemcy mogli prezydenta Starzyńskiego przetrzymywać i rejestrować pod pseudonimem...

Na koniec, jak mam to w zwyczaju, maleńka prywata. A nawet dwie. Istotnym źródłem jednej z wersji śmierci Starzyńskiego, na jakie powołuje się Autor książki, są reportaże śledcze i wywiady braci Sachnowskich – Zdzisława i Stanisława. Ten ostatni pisywał także pod pseudonimem Jacek Wołowski. Zdzisław, co dla naszych czytelników może być ciekawe, był autorem słynnego niegdyś hasła *Cały naród buduje swoją stolicę*. Zwróciłem uwagę na to nazwisko, jako że w opracowywanym do druku drugim tomie wspomnień Zofii Skąpskiej, mojej Babci, pojawia się późniejsza żona Zdzisława, wówczas jeszcze jako panna Halina Paszko, córka Ryszarda, ewangelickiego biskupa polowego WP. Brała ona udział, w 1933 r., w prowadzonych przez Babcię kursach gospodarczych dla panien z dobrych domów. Oto jak przeplatają się losy... W innym miejscu i kontekście wspomina prof. Szarota dr inż. Bronisławę Cholewińską. Kierowała ona w czasie okupacji ogrodniczą stacją doświadczalną w Morach pod Warszawą. Wówczas tam, na etacie stróża nocnego, schronił się Jerzy Jurandot. Jako dziecko poznałem Panią Bronisławę, dość energiczną, mało przystępną współpracownicę mego Ojca w innym już zakładzie doświadczalnym – IUNG Reguły, też pod Warszawą, 5-6 km na południe od Mor. Pamiętam, że srogą postać Pani Bronisławy łagodził towarzyszący jej piesek – pekińczyk.

Tomasz Szarota, *Tajemnica śmierci Stefana Starzyńskiego*, wyd. Bellona, Warszawa 2020

Wojciech Jerzy Has – życie, twórczość, warszawskość

Wikipedia

Rafał Dajbor

Wojciech Jerzy Has nie należy do artystów, których życie i twórczość kojarzą się z Warszawą. Reżyser urodził się 1 kwietnia 1925 r. w Krakowie. Także w Krakowie zdobył wykształcenie filmowca, kończąc tam w 1946 r. Kurs Przysposobienia Filmowego (zwany niekiedy – w odróżnieniu od „Łódzkiej Filmówki" – „Krakowską Prafilmówką"). Przez wiele lat mieszkał we Wrocławiu i Łodzi. Jednak 95. rocznica jego urodzin i 20. rocznica śmierci to dobry pretekst, aby przypomnieć twórczość Wojciecha Jerzego Hasa – także w kontekście warszawskim

Has zaliczany jest dziś do grona najwybitniejszych XX-wiecznych reżyserów światowego kina. Rzecz jasna, nie wszystkie jego filmy osiągnęły ogólnoświatową sławę, wszystkie jednak były prezentowane za granicą i znaczna ich część doczekała się uznania. Filmem, który na zawsze umieścił Hasa w gronie reżyserów o sławie globalnej, jest *Rękopis znaleziony w Saragossie*, z 1965 r., ekranizacja powieści XVIII-wiecznego poety, żołnierza, filozofa i podróżnika Jana Potockiego. To film, który w wielu środowiskach intelektualnych na świecie ma status dzieła kultowego. Jest też stale obecny w kulturze i popkulturze. W powieści Neila Gaimana *Amerykańscy bogowie* czytamy: „Gadali o historii, filmach i muzyce. Laura okazała się jedyną znaną mu osobą, poza nim samym, która oglądała zagraniczny film (pan Town święcie wierzył, że hiszpański, podczas gdy Laura upierała się, że polski) z lat 60., *Rękopis znaleziony w Saragossie* – a już zaczynał odnosić wrażenie, że wyhalucynował go sobie". Z kolei bohater powieści Maxine Hong Kingston *Tripmaster Monkey* bezskutecznie szuka tego filmu i mówi: „Jeśli ktokolwiek z was odnajdzie jego ślad, niech da mi bezzwłocznie znać, niech na mój koszt zadzwoni do mnie, niezależnie od pory, w dzień lub w nocy. Chciałbym, by moja pamięć znów mogła zmierzyć się z bogactwem i zwodniczością tego dzieła". Trudno znaleźć inny polski film, który tak mocno osadziłby się w pamięci widzów całego świata.

Has zaczynał swoją edukację w czasie II wojny światowej. Najpierw w Szkole Handlowej w Krakowie, potem w Szkole Przemysłu Artystycznego na Wydziale Grafiki. Ostatnie lata wojny przepracował w wydawnictwie, pracował także fizycznie w kopalni. W latach 1945-1947 studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W tym samym czasie ukończył Kurs Przysposobienia Filmowego. Tak jak Andrzej Wajda – łączył w sobie wykształcenie artysty plastyka i filmowca. Jednak drogi obu Mistrzów były zupełnie inne. Hasa, w przeciwieństwie do Wajdy, nigdy jako twórcy nie interesowały sprawy polityczne, historyczne, społeczne. Sięgał po nie tylko wówczas, gdy widział w nich szansę na stworzenie wysmakowanej plastycznie opowieści. Swoje filmy opierał na literaturze, zaś dokładność jego reżyserskich scenopisów, stanowiących same w sobie swoiste „dzieła literackie", przeszła do legendy filmowego środowiska. Has nigdy przy tym nie sięgał po książki, by je „zekranizować" – nie przenosił na ekran akcji powieści po to, by jak najwierniej odtworzyć na taśmie filmowej zamysły pisarza. Jego filmy były zawsze artystycznymi interpretacjami. Pokazywały, jak jeden artysta rozumie i czuje dzieło innego artysty.

Tak powstała m.in. *Lalka* (1968), czyli ekranizacja dziejącej się w Warszawie powieści Bolesława Prusa. Has nakręcił film z rozmachem, z wielką dbałością o szczegóły scenograficzne i kostiumograficzne, Ważniejsza niż wątek romansowy była dla niego opowieść o Wokulskim jako człowieku, który pokonuje z powodzeniem wiele stojących na jego drodze barier, przeszkód i trudności, by ostatecznie zostać pokonanym przez coś tak trywialnego jak mur uprzedzeń i konwenansów nieuznających miłości między arystokratką a „zwykłym kupcem".

Beata Tyszkiewicz i Mariusz Dmochowski w *Lalce*, reż. Wojciech J. Has (1968)

Filmoteka Narodowa

Swoistą varsavianistyczną ciekawostkę stanowi fakt, że Has ów dziejący się w Warszawie kostiumowy dramat nakręcił w większości we Wrocławiu. O zagraniu Wokulskiego marzył Zbigniew Cybulski. Jednak Has nie widział go w tej roli. Cybulski tak długo chodził za reżyserem, przekonywał do swoich racji, że ten w końcu uległ. Zanim doszło do rozpoczęcia zdjęć, aktor zginął w wypadku kolejowym na dworcu Wrocław Główny. Jak twierdzi w swojej książce *Życie w drugim planie* Jadwiga Has (1945-2017), ówczesna żona reżysera, w momencie wypadku Cybulski miał przy sobie scenariusz *Lalki*. Ostatecznie w rolę Wokulskiego wcielił się Mariusz Dmochowski. Młodszy od Cybulskiego zaledwie o trzy lata, znakomity aktor, dla którego nie było to pierwsze spotkanie z tą postacią. Wcześniej, 13 stycznia 1967 r., w Teatrze Powszechnym miała bowiem miejsce premiera przedstawienia *Pan Wokulski* w reżyserii Adama Hanuszkiewicza i scenografii Xymeny Zaniewskiej z Dmochowskim w roli tytułowej. Izabelę Łęcką zagrała w filmie Hasa Beata Tyszkiewicz, „dyżurna" arystokratka ówczesnego polskiego kina, po dziś dzień ciesząca się popularnością, która za swoją rolę doczekała się nietypowego uznania – nagrody o wdzięcznej nazwie Polne Kwiaty, przyznanej przez widzów kinowych z Wielkopolski.

Lalka okazała się prawdziwą rewelacją Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Panamie w 1968 r. Film zdobył Wielką Nagrodę Festiwalu, a nagrody indywidualne powędrowały do rąk operatora Stefana Matyjaszkiewicza oraz aktorów Mariusza Dmochowskiego i Tadeusza Fijewskiego, który wcielił się w postać Rzeckiego. W Polsce jednak odbiór *Lalki* był niejednoznaczny. Wielu widzów i krytyków oczekiwało „ekranizacji", a nie interpretacji, zarzucali więc filmowi odejście od treści literackiego pierwowzoru, zbytnie rozbuchanie scenograficzne itp. Te zarzuty w jakimś stopniu odżyły w 1977 r., gdy po *Lalkę* sięgnął Ryszard Ber, kręcąc na jej podstawie dziewięcioodcinkowy serial z Jerzym Kamasem (Wokulski), Małgorzatą Braunek (Izabela Łęcka) i Bronisławem Pawlikiem (Rzecki) w rolach głównych. Do dziś na różnych internetowych forach filmowych można spotkać spory „która *Lalka* lepsza", choć dzieł Hasa i Bera właściwie nie ma sensu ze sobą porównywać. Należą do różnego typu kina, zaś ich twórcom przy sięgnięciu po powieść Prusa przyświecały zupełnie odmienne artystyczne cele.

Maria Wachowiak i Tadeusz Janczar w *Pożegnaniach*, reż. Wojciech J. Has (1958)

Dziesięć lat przed nakręceniem *Lalki* Wojciech Jerzy Has zrealizował film *Pożegnania* oparty na powieści Stanisława Dygata. „Wydane w 1948 r. *Pożegnania*, podobnie jak pisarski debiut Stanisława Dygata *Jezioro Bodeńskie*, krytyka zaliczyła do nurtu tzw. rozrachunków inteligenckich. Pod względem stylistycznym obie książki są bliźniaczo podobne. Realizm sąsiaduje w nich z groteską i pełnym ironii humorem. Główni bohaterowie wywodzą się z przedwojennego środowiska mieszczańsko-inteligenckiego, czasami skoligaconego z arystokracją, sportretowanego jako bastion skostniałego konserwatyzmu. Ich wspólną cechą jest chęć wyrwania się z gorsetu konwenansów. Marzą o niezwykłych przeżyciach, o życiu *prawdziwym*, przybierają buntownicze pozy, uprawiają przekorną psychologiczną grę z otoczeniem. Nie stać ich jednak na realizację swych zamierzeń. Tak naprawdę są wewnętrznie zbyt słabi i wygodni. Bardziej przypominają bystre, lecz rozkapryszone dzieci niż autentycznych nonkonformistów. *Pożegnania* Wojciecha Jerzego Hasa znakomicie oddają ducha Dygatowskiego oryginału. Reżyserowi udało się znaleźć obrazowe ekwiwalenty dla liryczno-refleksyjnej prozy autora *Disneylandu*. Nie tylko wiarygodnie ukazał pełne niuansów i niedopowiedzeń psychologiczne podłoże zachowań bohaterów, lecz także zachował ironiczno-groteskową *otoczkę* ich poczynań” – tak piszą o *Pożegnaniach* współcześni filmoznawcy (cytowany fragment pochodzi z serwisu filmpolski.pl). Zdjęcia do filmu powstały w warszawskim Ogrodzie Saskim, a także (w przeważającej części) w Podkowie Leśnej. Z filmem nierozerwalnie związana jest piosenka *Pamiętasz, była jesień* w wykonaniu Sławy Przybylskiej. *Pożegnania* to także niezapomniane, wspaniałe kreacje aktorskie: Tadeusza Janczara, Gustawa Holoubka oraz Marii Wachowiak – wówczas studentki Wydziału Aktorskiego warszawskiej PWST. Wachowiak stworzyła w filmie Hasa doskonały aktorski duet z Tadeuszem Janczarem. Ich scena przy barze, w której prowadzą wyrafinowaną grę słowną, to jedna z najsłynniejszych scen polskiego kina lat 50. ubiegłego wieku. „Maria Wachowiak i Tadeusz Janczar obdarzyli swoich bohaterów specyficznym poczuciem humoru. Lidka Marii Wachowiak jest prawie zawsze stroną atakującą, lecz jej słowne zaczepki Paweł potrafi ośmieszyć jednym zdaniem. Ale nie ma w tym złośliwości; Paweł Janczara traktuje po prostu ich rozmowy trochę jak grę o to, czyje będzie na wierzchu” – pisał Piotr Śmiałowski w książce *Tadeusz Janczar. Zawód: aktor*. Ukończywszy studia aktorskie, Maria Wachowiak nigdy nie powtórzyła sukcesu, którym była jej rola w *Pożegnaniach*. Występowała w warszawskich teatrach – Narodowym i Dramatycznym – ale w filmie nigdy już nie trafiła na rolę na miarę Lidki. W drugiej połowie lat 70. właściwie porzuciła aktorstwo na rzecz reżyserii teatralnej i radiowej, zaś od 1982 r. mieszkała w Niemczech, gdzie pracowała w Radiu Wolna Europa i grała w bardzo popularnej telenoweli *Lindenstraße*. Zginęła w wypadku samochodowym w Monachium 19 kwietnia 2019 r.

Wspominając warszawskie i okołowarszawskie plenery słynnych dzieł Wojciecha Jerzego Hasa, przypomnieć trzeba także lotnisko na Okęciu, które „zagrało” w *Jak być kochaną* z 1963 r., oraz położoną w Konstancinie-Jeziornie willę Zagłobin, w której powstała część zdjęć do *Sanatorium Pod Klepsydrą* (1973). Konstancin-Jeziorna to od wielu już lat jedyne miasto na Mazowszu posiadające status uzdrowiska – a zatem w Zagłobinie

Jan Nowicki i Gustaw Holoubek w scenie z filmu *Sanatorium Pod Klepsydrą*, reż. Wojciech J. Has (1973)

Filmoteka Narodowa; Archiwum

Zbigniew Cybulski w filmie *Rękopis znaleziony w Saragossie*, reż. Wojciech J. Has (1965)

w pewnym czasie rzeczywiście mieszkali kuracjusze. Dziś urokliwa willa znajduje się w prywatnych rękach i… znów wynajmowana jest na potrzeby filmowych zdjęć.

Tym aspektem filmów Hasa, który w najmocniejszy chyba sposób wiąże autora *Rękopisu znalezionego w Saragossie* ze stolicą, są obsady jego filmów. Oczywiście – w Hasowskich filmach występowali także aktorzy zrośnięci swoimi artystycznymi życiorysami z innymi miastami – Łodzią (Leon Niemczyk, Ludwik Benoit), Wrocławiem (Igor Przegrodzki, Artur Młodnicki) czy Krakowem (Jan Nowicki, Stanisław Igar). Jednak trzon obsad filmów Hasa stanowili właściwie zawsze aktorzy warszawscy. Przede wszystkim – Gustaw Holoubek, aktor w szczególny sposób związany z Wojciechem Jerzym Hasem, bo traktowany przez reżysera jako jego własne filmowe *alter ego* i obsadzany zawsze w tych rolach, z którymi najmocniej utożsamiał się sam Has. Ale u Hasa grali także m.in. Wiesław Gołas, Barbara Krafftówna, Władysław Kowalski, Lidia Wysocka, Teresa Szmigielówna, Krzysztof Chamiec, Mieczysław Voit, Janusz Gajos, Roman Kłosowski, Emil Karewicz, Ignacy Machowski, Zdzisław Mrożewski, Zdzisław Maklakiewicz, Adam Pawlikowski, Bogumił Kobiela, Wieńczysław Gliński, Franciszek Pieczka, Hanna Skarżanka, Ignacy Gogolewski, Zdzisław Wardejn, Ewa Wiśniewska, Maciej Kozłowski, Katarzyna Figura czy wspomniani już Zbigniew Cybulski, Beata Tyszkiewicz, Mariusz Dmochowski i Tadeusz Fijewski. Has chętnie współpracował z wielkimi aktorami starszego pokolenia, którzy skupieni byli prawie wyłącznie na pracy teatralnej i w filmach niemal się nie pojawiali, jak Janina Romanówna, Irena Eichlerówna, Irena Horecka, Jadwiga Halina Gallowa czy Jan Kreczmar. Cała ta plejada gwiazd może nieco dziwić w zestawieniu z poglądami na temat aktorstwa filmowego, które Has wyznawał. Znawca twórczości reżysera Piotr Wojciechowski pisał, iż Hasowi częściej chodziło „o osobę i twarz niż o talent i umiejętności”. Sam Has w jednym z wywiadów ujął to jeszcze dobitniej: „Od aktora oczekuję potrzebnego mi rodzaju bycia. Nic więcej. Nie wyjaśniam, nie robię prób. Aktor nazbyt świadomy, nazbyt aktywny, nie jest dobry. Z mężczyznami pracuje się lepiej. Są bardziej ulegli, pasywni. Z kobietami gorzej, chcą zaraz wszystko wiedzieć. Mają własne zdanie”.

Interesującą – i właściwie do tej pory niezauważoną – także „warszawską” ciekawostką związaną z obsadami filmów Hasa jest jego nader chętna współpraca z aktorami Państwowego Teatru Żydowskiego w Warszawie. To, wbrew powszechnej opinii, wcale nie twórca *Austerii*, Jerzy Kawalerowicz, a właśnie Has był tym, który najczęściej angażował do swoich filmów aktorów polskiej sceny żydowskiej. I tak, we *Wspólnym pokoju* zagrali Ruth Taru-Kowalska, Mojżesz Lancman i Józef Retik. W *Złocie* – Herman Lercher. W *Rękopisie znalezionym w Saragossie* – Józef Retik. W *Lalce* – po raz kolejny Józef Retik. Wreszcie w *Sanatorium Pod Klepsydrą* wg prozy Brunona Schulza w dużej i ważnej roli subiekta Teodora obsadził Has Seweryna Daleckiego, w znaczących rolach pojawili się także Szymon Szurmiej i Jan Szurmiej, zaś w wielkiej scenie dziejącej się na targu przewinął się właściwie cały zespół ówczesnego Teatru Żydowskiego, m.in. Ruth Taru-Kowalska, Stefania Staszewska, Herman Lercher czy dzisiejsza dyrektor tego teatru Gołda Tencer.

Twórczość Wojciecha Jerzego Hasa doczekała się licznych omówień, napisano o niej wiele artykułów i książek. O reżyserze pisali m.in. Konrad Eberhardt, Małgorzata Jakubowska, Iwona Grodź, Maria Kornatowska, Piotr Wojciechowski, Tadeusz Sobolewski, Alicja Helman, Grażyna Stachówna. Wszystko to były publikacje o charakterze naukowym. Filmoznawczym i kulturoznawczym. Jedyna publikacja na temat reżysera łamiąca naukowy charakter to wspomniana już książka byłej żony artysty Jadwigi Has *Życie w drugim planie*. Jest to jednak dla odmiany książka bardzo osobista, ujmująca przy tym jedynie ten okres życia, który Wojciech Jerzy i Jadwiga Hasowie spędzili razem, a więc urywająca się w połowie lat 70. Do tego szalenie subiektywna, bo pełna smutku i żalu porzuconej przez Hasa kobiety. Jak więc widać, w 20 lat po śmierci jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych nie doczekał się swojej biografii. Nie powstała książka, która w sposób obiektywny ujęłaby zarówno skomplikowane, naukowe interpretacje jego filmów, jak i osobiste wspomnienia Jadwigi Has, zsyntetyzowała te punkty widzenia i przedstawiła postać Hasa w przystępnej formie. Tę lukę w pewnym stopniu wypełnia poświęcona reżyserowi strona internetowa www.wojciechjerzyhas.pl prowadzona przez Aleksandrę Zagórską, miłośniczkę twórczości Hasa. Wciąż jednak brakuje książkowego podsumowania życia i twórczości jednego z największych Mistrzów Polskiego Kina.

Wojciech Jerzy Has zmarł w Łodzi 3 października 2000 r., gdzie od 1998 r. miał swoją „gwiazdę” w Alei Sław na ulicy Piotrkowskiej. Od 1 kwietnia 2014 r. patronuje Centrum Technologii Audiowizualnych we Wrocławiu, powstałemu w miejscu byłej wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Warto, by także Warszawa uczciła wybitnego reżysera, np. nadając jego imię skwerowi czy placowi.

A. Szymański

Wiesław Stasiak ogląda plan Warszawy z 1939 r., zdjęcie z 2020 r.

Ostatni Mohikanin

Z 92-letnim Wiesławem Stasiakiem, warszawiakiem z Sielc, fotoreporterem Centralnej Agencji Fotograficznej, rozmawia Andrzej Szymański

W którym punkcie Czerniakowa przyszedłeś na świat?
Na ulicy Kaszubskiej łączącej Czerniakowską z Czerską, tuż obok obecnej siedziby redakcji „Gazety Wyborczej". Mieszkałem z tatą Adamem i mamą Heleną w dwupiętrowej kamienicy, na owe czasy z wygodami. Dwa pokoje, wodociąg, toaleta, elektryka, telefon na korbkę. Dom wybudował mój wuj, Stanisław Bańdurski, który miał obok piekarnię.

Z czego żyliście?
Zacznijmy od tego, że tata jako 17-letni chłopak przerwał naukę w klasie maturalnej i zaciągnął się do wojska. Uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej, z frontem doszedł aż pod Kijów. Potem brał udział w Bitwie Warszawskiej 1920 r. Nie był nawet draśnięty! Został w wojsku polskim. Ponieważ nie miał matury, nie mógł zostać oficerem. Dopiero w końcu lat 30., po skończeniu studiów w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (CIWF) na Bielanach, awansowano go na porucznika. Pracował w kontrwywiadzie, często wyjeżdżał – czy to nad granicę z Prusami Wschodnimi, czy nad Zbrucz. Nawet nie wiem, czy mama wiedziała o charakterze jego pracy. We wrześniu 1939 r. poszedł na front. Razem ze swym oddziałem wycofał się do stolicy i bronił Dworca Wschodniego. Tam go zastała kapitulacja. Cały transport polskich oficerów został zabrany przez Wehrmacht do oflagu. Tata nie dojechał. Już w Gołąbkach pod Warszawą dał z kolegami dyla i wrócił w cywilnych łachach na Kaszubską.

Co robił w czasie okupacji?
Na Chełmskiej 16 róg Czerskiej znajdował się przedwojenny sklep. Właścicielem był Józef Koch. Jak weszli Niemcy, Koch stał się folksdojczem. Na Czerniakowskiej otworzył restaurację, a ojcu wydzierżawił ten mały sklepik. Handlowali z mamą aż do Powstania, trzeba było z czegoś żyć. Najbardziej zdumiewające, że ojca nikt nie wykapował i nie doniósł na gestapo o jego wojskowej profesji.

W 1939 r. miałeś 11 lat. Gdzie chodziłeś do szkoły?
Do powszechnej na Podchorążych przy Czerniakowskiej. Potem na Dolną przy Konduktorskiej, ale było to dość daleko od domu, więc przeniesiono mnie na ul. Chełmską 15, szkoła mieściła się w trzypiętrowej kamienicy z klinkierowej cegły. W jednej części siostry zakonne prowadziły przytułek dla młodych dziewcząt, a w drugiej był powszechniak nr 124 im. Grzegorza Piramowicza. W czasie Powstania budynek został częściowo zburzony.

Co jeszcze pamiętasz jako dorastający chłopak z niemieckiej okupacji?
Gdy skończyłem powszechniak, rodzice zapisali mnie do handlówki przy ul. Moniuszki 8. To była szkoła dla dzieci kupców warszawskich. W jednej klasie uczyło się 40 dorastających łobuziaków. Co ciekawe, mieliśmy tam lekcje łaciny i oczywiście niemieckiego – z Frau Opólską, starszą panią paradującą ulicami miasta w wielkim kapeluszu w kwiatach. Odbywały się też zakonspirowane lekcje z historii Polski.

To kawał drogi od twojej Kaszubskiej. Jak tam dojeżdżałeś?
Tramwajem linii nr 16. Z placu Bernardyńskiego, Czerniakowską, Książęcą, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem. A dalej tramwaj zasuwał Królewską, Graniczną, przez plac Żelaznej Bramy, Elektoralną, Młynarską, Górczewską aż do Ulrychowa. Tam ogrodnicy mieli wielkie pola. Kiedyś, nie pamiętam, w którym to było roku, byłem świadkiem masowej egzekucji. Z odległości 200 m widziałem, jak gestapowcy na rogu Nowego Światu i Wareckiej rozwalają kilkudziesięciu warszawiaków. Nie zapomnę też podróży „szesnastką" ulicą Chłodną, obok getta. Mieliśmy po kieszeniach kartofle, chleb, marchew. Przerzucaliśmy ten towar, a raczej towarek, przez trzymetrowy mur. Ale po jakimś czasie policja się zorientowała i kazała zamykać okna i drzwi w tramwaju.

Co ci jeszcze zostało w pamięci z czasów okupacji?
Widziałem zamach na Kutscherę, 1 lutego 1944 r. Tego dnia szedłem do szkoły na Moniuszki na piechotę z Kaszubskiej. Na trzecią lekcję. Lazłem przez park Łazienkowski dziurą w płocie od Agrykoli do Alej Ujazdowskich przy Ogrodzie Botanicznym. Park był „Nur für Deutsche", ale warszawiacy, a szczególnie zakochane parki, upodobały sobie to miejsce i przez rozdartą siatkę wkradały się w zarośla. Co chwila można było się potknąć o zużyte prezerwatywy. Ja się tego dnia nie potknąłem. Doszedłem do Alej, potem do Piusa XI, obecnie Pięknej. Nagle słyszę pisk opon i strzały. Ludzie uciekają, a ja – plask na glebę i obserwuję. Duży odkryty samochód, z drzwi wystają nogi faceta. Słychać pojedyncze strzały. Podjeżdża małe autko i zabiera jakichś cywili. I tyle. Po paru dniach informacja w gadzinowej prasie, że bandyci zabili gen. Franza Kutscherę, dowódcę SS i policji na dystrykt warszawski.

Nie bałeś się?
Przecież to była chwila! Dużo bardziej bałem się, przewożąc od 1941 do 1944 r. „Biuletyn Informacyjny AK". Miałem 13 lat, kiedy zacząłem odbierać egzemplarze biuletynu z mieszkania przy ul. Solec 85. Na Czerniakowskiej były łapanki i jak tylko motorniczy tramwaju widział obławę, zwalniał, a ludzie skakali na jezdnię. To były stare wozy bez drzwi, bo pullmany zostały zabrane przez szwabów do Berlina. Gazetki zawoziłem do domu, ojciec o tym wiedział, mama nie. Odbierali je koledzy i po przeczytaniu przekazywali innym. Dziesiątki ludzi czytało każdy numer.

Wystawa na 10-lecie CAF-u, Wiesław Stasiak w pracy, z dwiema kamerami marek Linhoff i Pentacon Six, 1961 r.

Powstanie Warszawskie przeżyliście na Sadybie?
Ojciec bardzo chorował i nie mógł pójść do Powstania, a był zastępcą dowódcy kompani. Kiedy w sierpniu Niemcy podchodzili pod nasz dom, on i wuj zadecydowali – idziemy do Pyr. Doszliśmy polami, teraz to gęsto zabudowany Ursynów. Tam pracownik wuja jakiś czas nas „przechowywał". Ale znowu zrobiło się niewesoło, zaczęły się łapanki. Zabraliśmy tobołki i ruszyliśmy dalej, kolejką. Najpierw Piaseczno, potem Nowe Miasto nad Pilicą, a w końcu wylądowaliśmy w Częstochowie. Wynajęliśmy mieszkanie. Ojciec zatrudnił się w restauracji i dowoził bimber. Doczekaliśmy tak do końca stycznia, do wkroczenia ruskich. Pierwszymi pociągami, na stopniach wagonu (mamę udało się wepchnąć do środka), dojechaliśmy zmarznięci do Włoch. Dalej już na piechotę, przez zrujnowane i puste miasto dotarliśmy na Kaszubską. Dom stał, ale był zrujnowany. Zrobiłem nawet zdjęcie tej kamienicy w marcu 1945 r.

Jak sobie dawaliście radę w wyludnionym mieście?
Nie było takie puste. Z każdym miesiącem warszawiaków było coraz więcej, wracali z tułaczki. A rodzice zaczęli handlować w spożywczaku, w kamienicy wybudowanej przez Jana Gajewskiego, słynnego stołecznego cukiernika. Niestety, nie za długo tam pracowali.

Wielkanoc, akcja przed kościołem na Chełmskiej, 1963 r.; fot. Wiesław Stasiak

Sklepik upaństwowiono?
Nie, to zrobiono dopiero w 1950 r. Ale cztery lata wcześniej przeżyliśmy tragedię rodzinną. Na Polnej obok budynku straży pożarnej rozpędzony samochód ciężarowy wpadł na wyślizganej kostce w poślizg i zabił na miejscu ojca. Pamiętam ten dzień – 5 października 1946 r.

Skąd się wzięło Twoje zainteresowanie fotografią?
W 1950 r. władza ludowa wzięła mnie w kamasze. Wylądowałem w Orzyszu, w jednostce 3726. Wielkie poniemieckie koszary, a wokół mazurska pustka. Gospodarki do objęcia, autochtoni... Na spotkaniu kwalifikacyjnym pytają mnie: „Co potraficie?", „No, gram na pianinie", „I co jeszcze?", „Fotografuję", „Macie aparat?", „Jasne" – odpowiadam. Miałem leicę, przedwojenną, najtańszą. Dostałem przepustkę do stolicy. Kapitan Mierzanowski (przywędrował z 1 Armią Wojska Polskiego z Sowietów) obejrzał moje fotki, pochwalił, a był „gościem", bo szefem Wojskowej Agencji Fotograficznej, która mieściła się w ocalałym Domu bez Kantów przy Krakowskim Przedmieściu. Wzięli kilka moich zdjęć i wróciłem do jednostki w Orzyszu. Miałem służbowy aparat wojskowy, klisze czarno-białe o czułości 18 DIN kupowałem za wojskowe pieniądze. Fotografowałem na manewrach, ćwiczeniach. I tak zleciały dwa lata. Do cywila wychodziłem jako starszy szeregowy.

A jak się znalazłeś w Centralnej Agencji Fotograficznej?
Kapitan Mierzanowski zapytał, gdzie chcę pracować. Odpowiedziałem grzecznie, że w CAF-ie. Zatelefonował do dyrektor Ireny Pawełkowej i ta po dwóch dniach powiedziała: dobrze, przyjmiemy pana, ale na dwa miesiące, do laboratorium na trzecim piętrze przy Foksal. Agencja mieściła się na czterech piętrach. To był dobry punkt w mieście. Na parterze była restauracja Kameralna, a właściwie trzy lokale. Od Gałczyńskiego sala z tzw. wysokimi stołkami. Od Foksal – lokal nocny, a od Kopernika – „dla ubogich". Wpadało się tam na kielicha czy dwa bez siadania, na stojąco. Tylko Mariusz Szyperko nie pił, reszta to były „kiziory".

I w tej firmie poznałeś swoją żonę, Basię, która pracowała w laboratorium.
Tak. Wcześniej skończyła technikum fotograficzne przy Spokojnej. Ślub wzięliśmy 26 grudnia 1955 r. w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim. Zdjęcia robił nam Marian Sokołowski i Zbyszek Matuszewski. Obaj już nie żyją. Mieszkaliśmy przy ul. Chełmskiej 38, razem z moją mamą. Dobrze nam z nią było, gotowała, choć często stołowaliśmy się też w stołówce PIW po drugiej stronie Foksal, ze świetną kuchnią. Czasami jeździliśmy do Milanówka, gdzie teściowie mieli piękną willę.

To wziąłeś bogatą pannę za żonę!
Teść skończył Politechnikę Warszawską w 1935 r., pojechał na Wybrzeże na apel wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego i budował w rozbudowującej się Gdyni ulice, mosty, nabrzeża portowe... Sporo forsy zarabiał jako młody chłop. A urodził się na Powiślu, przy ulicy Fabrycznej.

To tak jak mój ojciec. Jak wyglądała praca w CAF-ie?
Na pierwszą robotę wysłali mnie w koszalińskie, do PGR-u. Miałem stary, przedwojenny aparat z miechem, format 6 x 9, 8 klatek. Jechałem pociągiem 12 godzin. Zakwaterowano mnie w jakiejś izdebce w PGR-ze, dookoła prymityw, a ja musiałem zrobić optymistyczne fotki.

Plac Trzech Krzyży, Wiesław Stasiak w akcji, na dorożce, 1960 r.

A już w Warszawie posyłano cię do Białego Domu, czyli do Komitetu Centralnego?
Nie lubiłem tam chodzić. Brałem aparat i w miasto.

Jaki aparat?
Praktisixa, dobry sprzęt na tamte czasy. No i lampę błyskową. Na początku, w 1962 r., marki Report 2. Zasilacz ważył 6 kg, nosiło się go na ramieniu. Angielski devi ważył 12 kg, ale ja się do niego nie dotknąłem. Do lamp wymyślono żaróweczki tzw. śliweczki. Były niebezpieczne. Kiedyś Stasio Dąbrowiecki odpalił lampę na plenum w KC podczas przemówienia Cyrankiewicza. Żaróweczka wybuchła i obsypała szkłem Józefa. Nawet nie zareagował, a Stasio robił w majtki. Potem podarowano nam żarówki z Holandii, Philipsa. Były powlekane plastikiem. Nosiliśmy je po kieszeniach.

Pamiętasz kolegów z CAF-u?
Jakżeby nie. Oni wszyscy już po drugiej stronie: Zygmunt Wdowiński, Wojciech Kondracki, Stanisław Dąbrowiecki, Stanisław Czarnogórski, Bolesław Miedza, Marek Langda, Mirosław Iringh. Ten ostatni był Słowakiem i z kilkoma kolegami walczył w Powstaniu na Powiślu. Na rogu Wilanowskiej i Okrąg jest skwer nazwany jego imieniem.

Pracując w CAF-ie, jeździłeś trochę po Polsce?
Głównie fotografowałem w stolicy, ale były też wyjazdy. Pamiętam, jak na początku lat 70. wracałem z sesji zdjęciowej na Śląsku i miałem zaklepany bilet na lot z Krakowa. A tu dzwoni szef i rozkazuje mi obsłużyć fotograficznie spotkanie premiera Jaroszewicza z załogą zakładu chemicznego. Co robić, trzeba wracać do redakcji jak najszybciej. Grzecznie porozmawiałem z ministrem przemysłu chemicznego Olszewskim siedzącym w prezydium, a ten z premierem. Zezwolił na wspólny lot samolotem rządowym z Balic na Okęcie. Czekamy w Balicach, podchodzi oficer i melduje: towarzyszu premierze, samolot gotowy. To był Jak-40 i wchodziło się do niego spod ogona. Przeżegnałem się, wstępując na schodki. Zauważył to Jaroszewicz i pyta: „Pan redaktor wierzący?", „Tak, całe życie!", „No to dobrze". A pamiętam go z 1946-1947 r., kiedy prowadził pod rękę w procesji Bożego Ciała arcybiskupa Hlonda. Był wtedy pułkownikiem Wojska Polskiego. Z kolei do Bagdadu w 1965 r. leciałem z Marianem Spychalskim. W samolocie było wesoło, wszyscy popili, opowiadali kawały polityczne. To byli zupełnie inni ludzie, nie tacy nadęci jak na akademiach partyjnych.

Przepracowałeś 39 lat jako fotoreporter, najpierw w CAF-ie, a od 1976 r. w redakcji fotografii propagandowej Krajowej Agencji Wydawniczej, którą zarządzał Dobrosław Kobielski. W KAW-ie pracowaliśmy razem przez sześć lat, do stanu wojennego, kiedy gen. Jaruzelski wysłał mnie na zieloną trawkę. Długo tam jeszcze siedziałeś, a właściwie jeździłeś „na pocztówki"?
Kilka lat, aż Agencja się rozpadła, w 1990 r. Z naszego grona niewielu zostało. Stasiak jako „ostatni Mohikanin", Jurek Malinowski, Leszek Surowiec, Andrzej Araszkiewicz mieszkający w Bostonie i ty.

Ile fotek zrobiłeś podczas tych prawie 40 lat?
A cholera wie. Najpierw czarno-białe, potem ORWO – kolor byle jaki i chemia barwna też do kitu. Potem dostaliśmy filmy firm AGFA, KODAK, FUJI. Cyfrą już nie robiłem zdjęć.

Słyszałem od kolegów, że do tej pory prowadzisz auto. Prawda to czy łgarstwo?
Najprawdziwsza prawda. Odwiedzam jedyną córkę Agnieszkę i wnuczkę. Wyobraź sobie, że do tej pory przejechałem ponad 1,5 mln km. W CAF-ie niewielu kolegów miało własne samochody. Jeździli służbowymi

Oficerska Szkoła Milicji w Szczytnie, „pies przed psami”, koniec l. 60. XX w.; fot. Wiesław Stasiak

warszawami z kierowcą. Ja zacząłem od wartburga, potem był fiat 125, polonez, daewoo, uno, teraz fiat panda. Ciągnąc przyczepkę, przejechałem z rodziną i kolegami całą południową Europę, wędrowaliśmy w Maroku. Trzeba było wykorzystać półtora miesiąca płatnego urlopu, który mi dawała firma.

A jak zaczęła się Twoja przygoda z motoryzacją?

Jako młody chłopak byłem zafascynowany wyścigami motocyklowymi i samochodowymi na trasie: Szwoleżerów, Czerniakowska, Łazienkowska, Piękna, Aleje Ujazdowskie. Urządzały je w latach 1946-1949 władze stolicy. Oczywiście byłem widzem tych szaleńczych zmagań, a sam dosiadłem motor, mając niespełna 18 lat. W 1945 r. ruscy oficerowie mieszkali w Alejach niedaleko Belwederu. Przywozili z Niemiec szabrowane meble, sprzęt kuchenny oraz motocykle i sprzedawali je, by mieć kasę na wódę. Nawet niedrogo. Pamiętam, ojciec kupił od nich angielski motor marki Royal Enfield, 350 cm pojemności, w wojskowych kolorach ochronnych. Gdy on szedł robić w sklepie, ja wskakiwałem na pojazd i – dawaj – asfaltówką do Wilanowa. Była to jedyna maszyna na Sielcach! Po kilku miesiącach sprzedał go i powiedział mi: „Nie chcę, żebyś się zabił”. I, popatrz, rok później on zginął pod ciężarówką! Ja jeszcze jeździłem ze trzy lata BMW 250 cm, a pożyczał mi go znajomy sąsiad. Cały czas bez prawa jazdy. To wyrobiłem sobie dopiero w 1956 r.

Wiesiu, tyle lat naciskania migawki, na kliszach uwieczniłeś dziesiątki tysięcy ludzi... To trochę tak, jakbyś uwieczniał historię PRL-u.

Bo tak było. I wesoło, i śmieszno, i straszno. Nie zapomnę, jak na zjeździe PZPR w Pałacu Kultury Leonid Breżniew nagle wstał od stołu prezydialnego i pomylił po pijaku drogę. Zamiast do wyjścia, gdzie czekała na niego ochrona, skierował się, zataczając, w stronę naszej grupy fotoreporterów. Nie zmieszał się z nami, bo w ostatnim momencie „goryle” wzięli go pod ręce i poprowadzili do saloniku VIP-ów. Do dzisiaj nie zapomnę też spotkania z wielkim Polakiem marsz. Józefem Piłsudskim w 1934 r. Miałem wtedy sześć lat i ojciec, wiedząc, że marszałek między godz. 8 a 9 rano opuszcza Belweder i udaje się na drugą stronę Alej Ujazdowskich do Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych, zabrał mnie ze sobą. Marszałek przeszedł obok nas w asyście dwóch oficerów w długich płaszczach. Pochylił głowę, uśmiechnął się. Ojciec, wyprężony na baczność, salutował, a ja, pędraczek, paluszki do berecika i tak oddawałem honory największemu Polakowi II Rzeczypospolitej. Tego nie zapomnę do końca swych dni.

Dziękuję za rozmowę i trzymaj się, kolego po fachu.

Nagroda Klio

dla najlepszej książki historycznej roku 2020

w kategorii varsavianistycznej

dla Jarosława Zielińskiego za

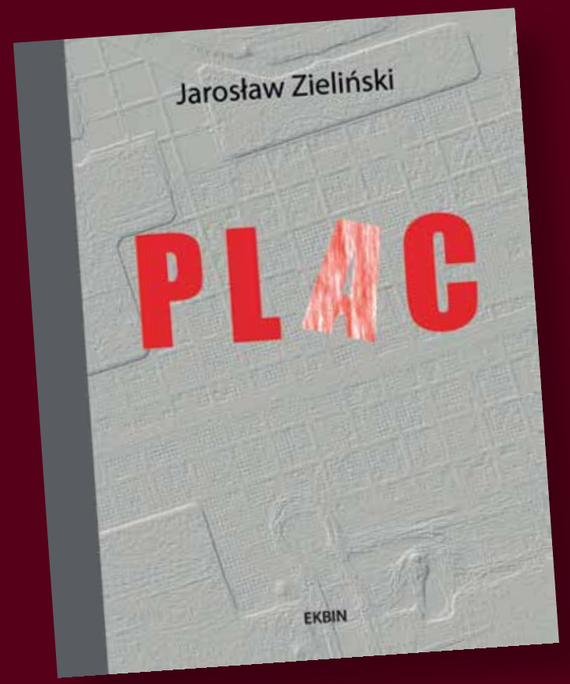

Nagroda Stowarzyszenia Wydawców Książki Historycznej pod patronatem Fundacji Historia i Kultura.
Z ponad 220 nadesłanych na konkurs książek wyboru najlepszych dokonało jury w składzie:
prof. dr hab. Halina Manikowska • prof. dr hab. Tomasz Szarota (przewodniczący)
prof. dr hab. Jacek Banaszkiewicz • prof. dr hab. Jan Kieniewicz • prof. dr hab. Maciej Janowski
red. Tomasz Łubieński • red. Marian Turski • red. Tomasz Urzykowski

Książka wydana przez EKBIN w serii Biblioteka STOLICY

Do nabycia w redakcji STOLICY:
tel. 22 / 741 01 30 oraz 601 259 547, e-mail: redakcja@warszawa-stolica.pl

Boska Greta w pałacu Pod Blachą,

czyli Warszawa w obcym filmie przedwojennym

Piotr Kitrasiewicz

W przedwojennym filmie polskim Warszawę często obierano jako miejsce akcji prezentowanych fabuł, co wynikało nie tylko z jej stołeczności, ale i faktu, że w grodzie Warsa i Sawy znajdowały się niemal wszystkie wytwórnie filmowe ówczesnej RP. Jednak nasza stolica służyła za scenerię nie tylko filmom polskim. Bywało, że również zagraniczni filmowcy wprowadzali warszawskie realia do swoich scenariuszy

Fragmenty warszawskich pejzaży, a zwłaszcza plac Saski, Pałac Blanka oraz Zamek Królewski, weszły do dramatu historycznego o królu Auguście II Sasie z Wettinów zwanym Mocnym, zasiadającym na tronie Saksonii oraz Polski w pierwszej połowie XVIII w. Film noszący tytuł *August der Starke* (*August Mocny*) powstał w koprodukcji niemiecko-polskiej w roku 1936 i był dokonaną na polu kultury manifestacją rzekomo poprawnych, a nawet jakoby przyjaznych stosunków łączących Trzecią Rzeszę z Rzecząpospolitą. W okresie tym niemieckie władze polityczne i państwowe, z Adolfem Hitlerem na czele, liczyły, że uda im się zwasalizować Polskę na drodze pokojowej i wykorzystać wschodniego sąsiada jako sprzymierzeńca w planowanej inwazji na Związek Radziecki. Niemcy robili więc gesty pod adresem Polski, które na polu kulturalnym zaowocowały m.in. nakręceniem kilku filmów o wydźwięku polonofilskim oraz dwiema koprodukcjami. Pierwszą z nich był *August Mocny*.

Pomysł wyszedł od strony niemieckiej, która nalegała, aby to właśnie August II stał się bohaterem filmu „łączącego" oba narody. Polskie władze zgodziły się niechętnie, ponieważ saski władca nie miał dobrej opinii w oczach polskich poddanych, ale dały się przekonać, że scenariusz nie będzie zawierać kontrowersyjnych elementów, a fabuła skupi się na życiu prywatnym słynącego z licznych miłostek Augusta. Scenariusz wyszedł spod piór Niemców: Johannesa Eckardta i Carla Haensela. Polskie dialogi były dziełem pisarza i dziennikarza Stanisława Wasylewskiego, który stanął również za kamerą w realizacji scen polskich, co nie było dobrym pomysłem, jako że nie miał doświadczenia w pracy nad filmem. Reżyserię całości objął pionier niemieckiego kina, twórca sławnych niemych filmów, m.in. *Golem*, Paul Wegener. W tytułową postać wcielił się Michael Bohnen, aktor znany głównie ze scen teatralnych, w roli faworyty króla, hrabiny Koenigsmark, wystąpiła gwiazda lat 20. Lil Dagover (zagrała m.in. w *Gabinecie doktora Caligari*). Polscy aktorzy dostali role drugorzędne: w hrabinę Jabłonowską wcieliła się Maria Balcerkiewiczówna, w młodą polską kochankę króla, Hanusię – Tamara Wiszniewska. Wystąpili również: Loda Halama, Franciszek Brodniewicz, Aleksander Suchcicki i Wanda Jarszewska.

Plenery kręcono w Polsce i w Niemczech, w siedzibach Wettinów w Warszawie i w Dreźnie, jednak wnętrza warszawskiego Zamku powstały w atelier wytwórni Tobis. Nie było mowy, aby niemieccy filmowcy mogli wkroczyć do siedziby królów Polski. Plenery okazały się dużym atutem, dobrze wykorzystanym przez reżysera. Gorzej było z wyważeniem akcentów narodowościowych. W filmie dominowali Niemcy oraz niemiecki punkt widzenia. Polacy przewijali się na drugim planie, ukazani wprawdzie jako sympatyczny, ale niezbyt wyrobiony politycznie, a ponadto zacofany ludek, który jest tak przywiązany do własnej tradycji i obyczajów, że uparcie nie chce brać przykładu z „wyższej" cywilizacji oferowanej przez zachodniego sąsiada. Był jednak także plus w sposobie ukazania obu nacji, polegający na skomponowaniu scen w taki sposób, że budujący ze sobą dialog Niemcy i Polacy mówią każdy w swoim języku, a mimo to rozumieją się. Nie mogło to przeważyć mankamentów całości i *August der Starke* po uroczystej premierze z udziałem oficjeli wszedł do kin obu krajów, po czym szybko zniknął z ekranów. Polakom nie podobało się lansowanie zabarwionego poczuciem wyższości niemieckiego „dobrodziejstwa" cywilizacyjnego, Niemców z kolei odrzucało bratanie się polskich i niemieckich dworaków, oficerów i służących.

Greta Garbo i Charles Boyer w filmie *Pani Walewska* (premiera 1937)

Komedyjka z Kolumną Zygmunta

Drugą koprodukcją, wdrożoną w 1937 r., była komedia muzyczna *Dyplomatyczna żona*. Zrealizowano dwie wersje filmu. Niemiecką, o tytule *Abenteuer in Warschau* (*Przygoda w Warszawie*), wyreżyserował twórca lekkich filmów rozrywkowych Carl Boese, natomiast polską – Mieczysław Krawicz. W niemieckiej wersji wystąpili głównie aktorzy niemieccy oraz dwie Polki: odtwórczyni głównej roli Jadwiga Kenda, poznanianka wychowana w Niemczech jako córka dyplomatów, oraz Mieczysława Ćwiklińska. Ta ostatnia zagrała polską nauczycielkę śpiewu, Apolonię, mającą notabene problem alkoholowy, co jednak przedstawiono na ekranie w sympatycznym świetle. Kenda i Ćwiklińska wystąpiły w obu mutacjach, a o obsadzeniu Ćwiklińskiej także w niemieckiej zadecydował fakt, że mówiła biegle po niemiecku, podobnie jak Kenda.

Jednak koprodukcja niemiecko-polska, w którą Niemcy zaangażowali się finansowo, pokrywając niemal trzy czwarte kosztów, nie wypaliła. Film okazał się kiepską i raczej nudną komedyjką, a jego pokazy nie przyciągnęły tłumów po żadnej stronie granicy. Tym niemniej *Abenteuer in Warschau* zostało zakupione w kilku krajach i film ukazujący warszawskie plenery, m.in. ruch uliczny, Kolumnę Zygmunta i figurę pochylonego Chrystusa na frontonie kościoła Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu, powędrował w świat, promując, choć w ograniczonym stopniu, naszą stolicę.

Złowrogi cień cytadeli

Z kolei *Die Warschauer Zitadelle* to niemiecki tytuł popularnego w Niemczech w okresie międzywojennym dramatu Gabrieli Zapolskiej pt. *Tamten*, z fabułą rozgrywającą się w środowisku polskich konspiratorów oraz w kręgu rosyjskich władz Warszawy pod zaborem rosyjskim u schyłku XIX w. Niemieccy filmowcy przenieśli ten utwór na ekran dwukrotnie: po raz pierwszy w roku 1930 za sprawą reżyserskiej pary Luise i Jacoba Flecków, oraz w roku 1937, kiedy w fotelu reżysera zasiadł Fritz Peter Buch.

Obie wersje miały spore powodzenie, ponieważ niemieccy widzowie – jak również publiczność w innych krajach – życzliwym okiem patrzyli na opór stawiany przez zniewolonych przez potężną Rosję Polaków. Chociaż akcja obu *Cytadel* toczy się w Warszawie, to scenerię naszego miasta – fragmenty ulic, dworca, koszar i wreszcie samej cytadeli – wykreowano w berlińskich studiach atelierowych. Warto jednak wspomnieć o obu tych pro-

dukcjach, tym bardziej że już w samych tytułach odwoływały się do Warszawy i zaniosły ją w świat, bo obraz *Die Warschauer Zitadelle* został zakupiony m.in. przez Francję (*La citadelle de Varsovie*), Grecję (*O pyrgos tis Varsovias*), Portugalię (*A Fortaleza de Varsóvia)*, Holandię (*De citadel van Warschau*), Finlandię (*Varsovan vanki*), Węgry (*A varsói fogoly*) i Jugosławię (*Varšavska citadela*). U nas pokazywano tylko wersję Flecków, w której wystąpił gościnnie polski aktor Adam Brodzisz. Dzisiaj obie ekranizacje dramatu Zapolskiej są całkowicie zapomniane.

Garbo w roli Walewskiej

Imponująco prezentowała się Warszawa w pierwszych latach XIX w. w amerykańskim dramacie historycznym *Pani Walewska* z Gretą Garbo w roli tytułowej. Hollywoodzcy producenci nie szczędzili środków na dekoracje i nawet nieco przesadzili w splendorze, bo wykreowany w studiu pałac Pod Blachą przypominał Wersal, natomiast miasto jako takie wydawało się złożone wyłącznie z willi i pałaców.

Film był ekranizacją powieści Wacława Gąsiorowskiego pod tym samym tytułem, napisanej w Paryżu na początku XX stulecia. W latach 30. doczekała się ona przekładu na język angielski i została wydana w Stanach

Reklama filmu *Pani Walewska* (premiera 1937)

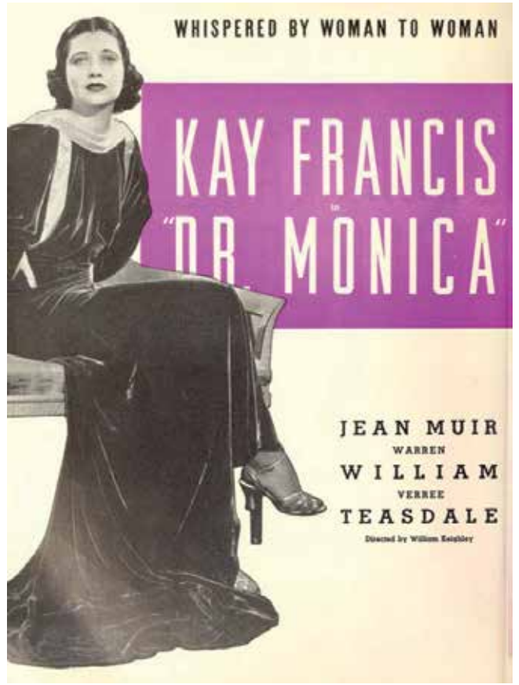

Reklama filmu *Doctor Monica* z Kay Francis w roli tytułowej (1934)

Zjednoczonych. Amerykański edytor nadał jej komercyjny tytuł: *Napoleon's Great Love*. Książka miała niezwykłe szczęście, jako że hollywoodzcy scenarzyści wyłowili ją z tysięcy produkcji literackich zalewających rynek. Powieść przeczytała Salka Viertel, autorka scenariuszy do filmów Grety Garbo, i uznała ją za znakomity materiał do kolejnego ekranowego wcielenia wielkiej gwiazdy. Premiera filmu odbyła się w roku 1937. W Ameryce wyświetlano go pod intrygująco brzmiącym tytułem *Conquest* (*Podbój*), natomiast w Europie jako *Marie Walewska* lub jako połączenie obu tytułów.

Po raz drugi w czołówce hollywoodzkiego obrazu pojawiło się nazwisko polskiego pisarza jako autora pierwowzoru literackiego. Pierwszy taki fakt miał miejsce w roku 1934, kiedy Amerykanie wyprodukowali dramat psychologiczny *Doctor Monica*, z Kay Francis jako tytułową bohaterką, oparty na sztuce Marii Morozowicz-Szczepkowskiej *Sprawa Moniki,* cieszącej się dużym powodzeniem w teatrach Polski, a potem wielu krajów Europy, wreszcie Ameryki – jej wystawienie w Nowym Jorku odniosło sukces i skłoniło producentów z „fabryki snów" do sięgnięcia po literacki materiał. Sam film *Doctor Monica* nigdy nie trafił do Polski, a sukces polskiej autorki za oceanem został niemal całkowicie przemilczany przez polską prasę przedwojenną. Inna rzecz, że fabuła filmowej wersji *Sprawy Moniki* toczyła się w USA, a treść została wyprana z wszelkich polskich akcentów.

Inaczej było z *Panią Walewską*, której akcja w dużym stopniu rozgrywa się właśnie w Polsce, a tytułowa bohaterka zakochuje się z wzajemnością w cesarzu Francuzów. Garbo partnerował jako Napoleon francuski amant Charles Boyer, a film wyreżyserował Clarence Brown, mający kilkuletnie doświadczenie we współpracy ze słynącą z niełatwego charakteru „boską Gretą".

Sama produkcja okazała się nierówna. Najsłabszy był scenariusz, do którego przykładało ręce zbyt wielu filmowych dramaturgów. Z powieści Gąsiorowskiego wykrojono główny wątek miłości pięknej Polki i Bonapartego oraz kilka epizodów. *Pani Walewska* była najdroższym filmem w karierze Garbo ze względu na kosztowne kostiumy i dekoracje, jednak wpływy z dystrybucji rozczarowały. Można powiedzieć, że przyczyną finansowego niepowodzenia było wspomniane zainwestowanie dużych środków w ekranowy obraz Warszawy, ale tak naprawdę przyczyna tkwiła w niemrawo poprowadzonej akcji, szczególnie w drugiej części filmu. Nawet w Polsce nie stał się ekranowym przebojem, a w każdym razie nie tak wielkim jak inne filmy z Gretą Garbo, z *Królową Krystyną*, *Anną Kareniną* i *Damą kameliową* na czele.

Ekspresowi Węgrzy

Ale najwięcej obrazów Warszawy znalazło się w zrealizowanej tuż przed wybuchem wojny węgierskiej komedii *Wszyscy do walca* (*Áll a bál*, 1939). Jej bohaterem był młody dyplomata z ubogiej rodziny zakochany w córce bogatych rodziców. Na skutek intrygi ona zostaje wysłana do Szwajcarii, a on do Warszawy. W finale zakochani łączą się ze sobą w warszawskim Hotelu Europejskim. W banalną skądinąd fabułę reżyser Viktor Bánky włączył wiele ujęć polskiej stolicy. Kiedy bohater w upalny dzień sierpnia spaceruje po mieście, a potem jedzie przez nie samochodem, kamera utrwala fragmenty ulic i gmachów, a także zabytków. I jest to obraz jak najbardziej realistyczny, żywy, o dokumentalnych wartościach. Okiem obiektywu oglądamy ruch na Marszałkowskiej, w Alejach Ujazdowskich, na Krakowskim Przedmieściu, a także na dalekiej Ochocie. Dyplomata wychodzi z Belwederu, ogląda pomnik Chopina w Łazienkach, jest na Rynku Starego Miasta. Potem wsiada do samochodu i przemierza miasto, którego śródmiejska część, z nowoczesnymi domami, wyasfaltowanymi jezdniami, licznymi sklepami, tramwajami, samochodami, prezentuje się całkiem okazale, a w każdym razie „po europejsku". Wtopione w fabułę sceny ukazywały prawdziwe, a nie wykreowane w atelier warszawskie tło, zarejestrowane na taśmie na chwilę przed katastrofą, jaka rozpoczęła się 1 września.

Zdjęcia w Warszawie nakręcili Węgrzy w ciągu trzech tygodni sierpnia 1939 r. Wyjechali 26 sierpnia. Praca ekipy w stolicy Polski była ostatnim akordem realizowanego filmu, bo sceny atelierowe powstały wcześniej w budapeszteńskim studiu. Pozostały jeszcze prace laboratoryjne, zwłaszcza zmontowanie i udźwiękowienie dzieła. Wybuch wojny przyspieszył działania filmowców, którzy, pracując w ekspresowym tempie, wprowadzili film na ekrany już 28 września. Premiera w Budapeszcie miała charakter nieoficjalnego aktu solidarności z krwawiącą Polską, tym bardziej że właśnie w tym dniu Warszawa skapitulowała. Kiedy węgierscy kinomani oglądali komedię *Wszyscy do walca*, nikomu nie było do śmiechu, a z wielu ukazanych na ekranie obiektów zostały już tylko ruiny. W ten sposób lekki w zamyśle film stał się najważniejszym przedwojennym obrazem Warszawy u schyłku lat 30. zawartym w zagranicznej fabule.

Piotr Kitrasiewicz – powieściopisarz, poeta, historyk filmu, pracownik naukowy Biblioteki Głównej m.st. Warszawy, gdzie prezentuje dawne polskie filmy w cyklu *Stare Kino na Koszykowej*. Obecnie pracuje nad monografią pt. *Filmowcy przedwojennej Warszawy*

REKLAMA

ANTYKWARIAT
KWADRYGA

ANTYKWARIAT KWADRYGA KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI, FOTOGRAFIE, MAPY I GRAFIKI.

DOJEŻDŻAMY DO KLIENTÓW NA TERENIE CAŁEJ POLSKI.
WYCENIAMY KSIĄŻKI. PŁACIMY GOTÓWKĄ. TEL. 22 622 11 54

SZCZEGÓLNIE INTERESUJĄ NAS:
książki przedwojenne • naukowa literatura humanistyczna (filozofia, historia, sztuka, prawo)
pierwsze wydania poezji • wydania emigracyjne • oprawy artystyczne • autografy.

Zapraszamy do kontaktu. Antykwariat Kwadryga • ul. Wilcza 29A lok. 25 • Warszawa • tel. 22 622 11 54

Skrobel

Przemysław Śmiech

Siedzieliśmy sobie z mojem sąsiadem, panem Benkiem, ciesząc się tą polską jesienią ze złota, i kalkulowaliśmy, co by tu robić w te długie wieczory. Gazowanie chwilowo nie wchodziło w gre, gdyż ponieważ nasze małżonki zabroniły nam, pardons, odradziły nam spożywanie napojów wyskokowych. W telewizyjnej kanalizacji programy wyłącznie dla amnezji umysłowej, a do kina nie można, bo zarazki, w czułki kopane. Pociągnąłem łyk mocnej herbatki z mniodkiem i zagaiłem w ten deseń do pana Benka:

– To co, panie sąsiedzie? Rozruszamy szare komórki?

– A po co je ruszać? Niech leżą.

– Ale jak tak leżą, to źle na makówkie działa. Nie będziesz pan nic kapował. Nie rozpoznasz pan małżonki...

– No trudno...

– Ani koleżków...

– A, to gorzej...

– Nie odróżnisz pan piwka od rumianku...

– Dobra jest, przekonałeś mnie pan. To w co gramy?

– Może w szachy?

– W szachy nie lubię.

– Z powodu?

– Z powodu królowej.

– Królowej? Wszak król jest najważniejszy!

– Niby tak. Ale może dostać mata. A królowa nie. Król cały czas cykorie odczuwa, bo to jego chcą stuknąć, jeden kroczek zaledwie może zrobić, a królowa szoruje po szachownicy, gdzie tylko ma życzenie, i na wszystko ma oko.

– Bardzo życiowa gra, panie Benku.

– Za bardzo. Coś innego.

– Bierki?

– Również nie.

– Bo?

– Bo to gra marynarzy.

– I otóż?

– I otóż ledwo zacznę w to grać, choroby morskiej dostaje.

– Pokerek?

– Odpada. Zagrałem kiedyś dla żartu o żonkie.

– Uśmiała się?

– Nie.

– A pan?

– Też nie.

– Gdyż?

– Gdyż małżonka wybiła mi chochlą takie żarty. I dwa zęby.

Pan Benek boleśnie zamyślił się nad swem niepełnem garniturem. Po chwiluni zrobiłem następny zapytunek:

– To może w skrobla?

– W co?

– W krzyżówkie. Literki pan układasz.

– Dobra jest! Gramy!

– Ale we dwóch to drętwo, zadzwonię telefonicznie do pana Ambrożego.

Zadzwoniłem. Pan Ambroży Keks, sąsiad z góry, przyleciał z radością, gdyż uwolniliśmy go od mitręgi oglądania trelenoweli z małżonką, Danutą Keks, z domu Kowalszczyk.

Rozłożyłem plansze, rozlosowaliśmy literki, ruszyła gra. Piersze słówko położył pan Benek.

– „Jędza"? Nieźle pan zaczął, panie Benku.

– To ona zaczęła.

– Ja ułożyłem słówko „kicię".

– Ale jak to „kicię" ? – zdziwił się pan Ambroży.

– Tak to: zapraszam kicię. Częstuję kicię. Rozbieram kicię...

– Dobrze, dobrze, już kapuje. To ja też coś w ten deseń. „Cizia".

– Pan Benek położył „zły".

– A dlaczego „zły", panie Benku?

– A dlatego, że te kicie oraz cizie możem sobie poukładać tylko na tej planszy...

– Aha. To jak „zły", to na lepszy humorek ułoże „wypił".

– To jak „wypił", to „wódy" – powiedział pan Ambroży.

– To ja „połykać" – dołożył pan Benek.

Wtedy ja ciężko westchnąłem i ułożyłem „teściowa".

– Taki pan jesteś? – zawołał pan Ambroży.

– To proszę: „gangrena"!

Pan Benek nie chciał zostać w tyle i położył „ucho". Ja dołożyłem „łomot". Kiedy pan Ambroży dostawił „nos", pan Benek zaznaczył:

– Panowie, zejdźmy już z tej teściowej! Proszę bardzo: „anyż".

– Anyż w sensie anyżówka? – upewnił się pan Ambroży.

– Rzecz wiadoma.

– To ja – „pań".

– Co „pań"?

– Zdrowie pań!

Wtedy ja położyłem „cep".

– Czemu „cep"?

– Kto nie pije, ten cep.

– Rzecz wiadoma.

– To ja „rzec" – powiedział pan Ambroży.

– „Rzec"? Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Takie literki były.

Pan Benek ułożył „frajer". Ja „flądra". Pan Ambroży „mamony".

– Ale że co „mamony"? – nagle wyszed z nerw pan Benek.

– Że forsy. Że floty. Że dzieńgów – wyliczył pan Ambroży.

– Przecież panu oddam, po co ta iluzja osobista?

– Pół roku mi pan oddajesz!!!

– Czasy są ciężkie!!!

– A były kiedyś lekkie?!

– Muszę jeść!

– Owszem! I pić!

Tu pan Benek nie wytrzymał i rzucił panu Ambrożemu garść literek w facjate. Wtedy pan Ambroży stuknął pana Benka planszą w główkie. Potem panowie chwycili się za krawaty i kto wie, czym by się to skończyło, gdyby nie moja małżonka, która weszła z mopem i za pomocą tego narzędzia higienicznego zakończyła konflikt, jak również nasze rozrywkie umysłowe.

Warszawskie piwnice

J. Roquelave

Jacek Fedorowicz

Sporo się pisze o architekturze warszawskich pałaców, kościołów, kamienic, o wnętrzach, nawach i klatkach schodowych, czasem o strychach się pisze, a o piwnicach chyba nigdy. To krzycząca niesprawiedliwość. Spieszę wyrównać mój dług wobec piwnic, przynajmniej wobec tych, w których pomieszkiwałem w różnych okresach życia, szczególnie w dzieciństwie.

Najpierw byłem do piwnicy znoszony na rękach przez Dziadka Schmidta, rodzinnego siłacza, potem schodziłem już o własnych siłach. Sadzano mnie na kolanach Mamy (ojciec był w oflagu), opatulonego w kołdrę, bo naloty z reguły odbywały się w nocy i wszyscy walili do piwnicy prosto z łóżek. Lokatorzy z wszystkich pięter siadali na ławach ustawionych po dwóch stronach piwnicznego korytarza i nasłuchiwali gdzie łupnie, a gdy łupnęło, dyskutowali, czy to było już blisko, czy jeszcze daleko. Siedzieliśmy przy świetle tzw. karbidówek, które z jakichś powodów były lepsze od świeczek i lamp naftowych. Dość ponuro było. Zapamiętałem z tych czasów dwa charakterystyczne dźwięki: głośne okrzyki „Trzecie piętro! Światło!" i ryk syren. W nocy obowiązywało zaciemnienie. Miasto miało udawać, że go nie ma. Wszystkie okna we wszystkich mieszkaniach musiały być zasłonięte, u nas służyły do tego rolety z czarnego papieru, zwijane w ruloniki. Niestety, nie pamiętam, czy to patrole granatowej policji chodziły ulicami i sprawdzały, czy też dozorcy domów mieli tak nakazane, w każdym razie krzyczano po polsku. Drugi złowrogi dźwięk: syreny. Ryczały w całym mieście tak, że nie dałoby się przedrzemać nalotu. „Nasza" stała na dachu domu przy Rozbrat między Szarą a Śniegockiej i gdy kiedyś za dnia poprosiłem Mamę, żeby mi pokazała urządzenie wydające ten ogłuszający dźwięk, długo nie mogłem uwierzyć, że to to, bo takie małe. Nieduży czarny grzybek. Tu ciekawostka, dom z syreną ocalał i ona sama stoi na dachu do dziś, choć to pewnie nie ona, tylko jej potomstwo.

ryc. Jacek Fedorowicz

Przedwojenne warszawskie piwnice były różne, ale przypuszczam, że ta z mojego dzieciństwa była typowa dla większości kamienic: wspólny korytarz i po obu stronach wejścia do pomieszczeń piwnicznych, już indywidualnych. Przed wojną i w czasie okupacji zapełnionych dobrem przeróżnym, od węgla, poprzez połamane meble, które kiedyś się naprawi, po worki z kaszą na wszelki wypadek. Gdy wybuchło Powstanie, każdy z takich pokoików, z małym okienkiem pod sufitem, musiał się zamienić w mieszkanie dla całej rodziny. W naszej na kilku metrach kwadratowych mieszkała piątka dorosłych i ja. Potem, uciekając, dokwaterowywaliśmy się do innych mieszkańców podobnych piwnic w Śródmieściu. Myślę, że wszyscy, którym udało się przeżyć Powstanie do kapitulacji, mieli za sobą podobne piwniczne doświadczenia. Przydatne po wojnie, bo ogromna liczba warszawian zagnieździła się gdzie się dało, a dawało się najczęściej tylko w piwnicy pod zburzoną kamienicą. Choć szczęściarzom trafiał się czasem parter.

A potem ruszyła odbudowa i piwnice wróciły do swych funkcji przedwojennych, czyli znów stały się składami zapasów, rupieci i węgla. Przełom piwniczny dokonał się za sprawą lodówek i kaloryferów. Lodówki zwolniły piwnice z obowiązku przechowywania kartofli, a kaloryfery, masowo podłączane do sieci miejskiej, wyrugowały z piwnic węgiel. Generalnie piwnice warszawskie robiły się coraz mniejsze, a w budownictwie gierkowskim były już tak małe, że trudno byłoby je sobie wyobrazić w charakterze pokoi mieszkalnych. Chyba że ktoś potrafiłby spać na stojąco. Dobrze, że jak dotąd nie musieliśmy tej umiejętności sprawdzać na własnej skórze i oby nigdy taka konieczność nas nie dopadła...

Liście = ŻYCIE

Arkadiusz Szaraniec

U. Frydrych

Na przykładzie drzew i liści widać jak na dłoni oczekiwania ludzi wobec natury. Otóż ma ona wyglądać ładnie, rosnąć wedle życzenia i nie sprawiać żadnych kłopotów. Kiedy wiosną pojawiają się pierwsze, tak rozkosznie zielone listeczki, panuje ogólny zachwyt wobec tego zjawiska. Podobnie działają na ludzi pierwsze kwitnące magnolie, potem kasztany i bzy, o czym skwapliwie donoszą media ze względu na matury i efektowne kadry. Z podobnych względów nie budzą jeszcze żadnego sprzeciwu pierwsze oznaki jesieni, czyli tak malownicze przebarwianie się zielonych liści na złoto i czerwień. Prawdziwy problem zaczyna się z chwilą ich opadania. Wtedy już cieszą się serdeczną nienawiścią miażdżącej większości społeczeństwa, a zwłaszcza aktywnych zwolenników „zadbanych" trawników, czyli strzyżonych do/po gołej ziemi. To oni rozpętują totalną wojnę. Kampania-krucjata „Liść to twój WRÓG" wybucha i trwa do ostatniego niedozmiotka i niewygrabka. Idą w niepamięć nieocenione zasługi liści i w ogóle koron drzew, alej, szpalerów jako zielonych parasoli-parawanów-dachów, fabryk tlenu, filtrów powietrza, reduktorów zabójczego smogu i dokuczliwego upału. Liczne ekipy najemników i ochotników prowadzą grabież (nie grabienie) każdego spłachetka zieleni, szczególnie niepotrzebną i szkodliwą na progu zimy. Twarde reguły biznesu, a więc największa opłacalność (minimum nakładów, jak najszybszy zysk), a nie podstawy biologii, a tym bardziej dobro społeczności, powodują, że firmy sięgają po najgorsze wynalazki szatana, czyli setki dmuchaw oraz ciężki sprzęt. Podczas pierwszych przymrozków – które niszczą odsłonięte korzenie – dokaszają/tratują do cna i tak ledwie żyjące trawniki, tonami biomasy napychają tysiące plastikowych worków, które zaraz trafiają na wysypiska i płoną na stosach jako masowy odpad.

Liść to nie śmieć. Tylko prawdziwe ludzkie głąby kapuściane widzą w liściach jedynie odpad, w najlepszym, bodajże jedynym przypadku opakowanie na ulubione „gołąbki". Tymczasem każdy liść, i to każdego gatunku drzewa i krzewu, na każdym etapie swego wzrostu, opadu, jak i długiego rozpadu na elementy najpierwsze, jest elementem i katalizatorem wielu procesów życia, od których także zależy nasze przeżycie. Ale w XXI w. Wygoda i Rutyna górują nad Wiedzą. Kogo to obchodzi, że te opadłe, więc „zbędne, suche" liście są tak naprawdę niezbędne tak dla roślin, jak i dla zwierząt – jako naturalny użyźniacz, pierzyna dla korzeni i przechowalnia nasion oraz śpiwór dla zimujących jeży, tak modnych i niby chronionych dzikich zapylaczy, czyli trzmieli, pszczół samotnic, motyli, żab, jaszczurek, węży, a także jako spiżarnia i stołówka dla ptaków...? Wiele z nich ginie od razu na etapie przemysłowej dewastacji trawników, parków, zieleńców, poboczy dróg, szos, autostrad przy pomocy kos, kosiarek, traktorów i dmuchaw, pozostałe są spalane żywcem w ramach finału „sprzątania". I co z tego, że nasze zimy-nie-zimy gwarantują brak osłony pokrywy śniegowej, a normalne już anomalie, czyli nagłe ocieplenia i ochłodzenia, susze i opady, zamrozy i odwilże, bezustanna degradacja ziemi, powodują, że świat roślin i zwierząt, żyjących tuż obok i wokół nas, jest z roku na rok coraz uboższy? Każdy kilogram tych „zbędnych" liści, ale użytych zgodnie z ich naturą, jako kompost-osłona-izolacja w ogródku, parku, na skwerze, trawniku, klombie, na działce i nawet na balkonie, jako ocieplacz i „minichochoł" doniczkowy może być ważną inwestycją w nasze (prze)Życie. Małe świadome kroki w masowej skali mogą zdziałać cuda, ale prawdziwym cudem byłoby zbiorowe odejście od rutyny. Może zadziała argument, jaki wysunął David Attenborough, że w okresie pandemii musimy lepiej zadbać o naturę – Zielony Respirator?

M. Piekutowska

Szokiem była dla nas, jak i dla wszystkich, którzy Go znali, wiadomość o śmierci Arkadiusza Szarańca. Gdy odchodzi człowiek leciwy, odczuwamy żal i ból, ale z taką śmiercią łatwiej się z czasem pogodzić. Natomiast nagłe odejście człowieka w pełni sił witalnych i twórczych, pełnego pasji i optymizmu, z planami rozpisanymi na najbliższe miesiące – kalendarzem wypełnionym spotkaniami z czytelnikami, dziećmi i młodzieżą, uzgodnieniami dotyczącymi tekstów do publikacji i w trakcie pracy nad kolejną książką – budzi myśli o niesprawiedliwości losu. Arkadiusz był z nami prawie 10 lat. Teatrolog z wykształcenia, z zawodu dziennikarz, z powołania i pasji ekolog, ekoedukator czy – jak sam siebie nazywał – ekoista. W STOLICY miał stały felieton *Zwierzę w mieście*, w którym wyrażał swoje umiłowanie przyrody, troskę o zwierzęta, nawoływał do racjonalnego współistnienia z naturą. Felietony te były też zaczynem książek – *Żubry lubią jeżyny* i *Dzika Warszawa*. Ta druga książka przyniosła mu wiele nagród, z Nagrodą Literacką m.st. Warszawy za edycję warszawską w 2020 r.

Żegnamy Cię Arku i obiecujemy – o zwierzętach, do których odnosiłeś się z taką czułością, nie zapomnimy na naszych łamach.

STOLICA nr 11-12/2020

TU Europa

Jarosław Zieliński

W przedwojennej Warszawie rynek towarzystw ubezpieczeniowych pozornie nie różnił się od obecnego – przedsiębiorstw było całe mrowie, konkurencja – ostra jak brzytwa i tylko reklama była mniej nachalna. Fundamentalna różnica między „wtedy" a „dziś" odzwierciedla ówczesną solidność kupiecką i powszechnie aprobowane wysokie standardy moralne. Przymioty te nie pozwalały poważnym firmom, nastawionym przecież na zysk i jego skuteczne inwestowanie, na „dojenie" klienta i unikanie przy pomocy różnego rodzaju kruczków wypłaty należnych odszkodowań. Warszawiacy wyciągnęli bolesną lekcję z wielkiego kryzysu ekonomicznego – setki firm o spekulacyjnym charakterze, z reguły nieubezpieczonych, po prostu wyparowały z rynku. Zbankrutowało wprawdzie również trochę mniejszych towarzystw ubezpieczeniowych, inne zaś ratowały się wchodzeniem w alianse, ogólnie jednak sektor finansowy całkiem nieźle zniósł katastrofę 1929 r.

W stolicy tradycje ubezpieczeń sięgały początku XIX w., a za carskich czasów potentatami były olbrzymie spółki akcyjne, na czele z towarzystwem „Rosja". W pierwszych latach istnienia Polski niepodległej firmy ubezpieczeniowe powstawały i upadały całymi dziesiątkami w sytuacji politycznej i finansowej niestabilności państwa. Te, które przetrwały, urosły z czasem w siłę, ale musiały konkurować z największymi graczami światowych rynków. Lokalną potęgą był Państwowy Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych (PZUW), o tradycji sięgającej 1803 r., którego zarząd rezydował w luksusowym wieżowcu przy ul. Kopernika 38/40. Od 1934 r. funkcjonował Zakład Ubezpieczeń Społecznych (ZUS), utworzony przez państwo drogą połączenia pięciu mniejszych instytucji. Obie firmy zaliczały się do kategorii spółek publicznych, ale istniały poza tym branżowe towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych (zazwyczaj niewielkie), spółki akcyjne z krajowym lub międzynarodowym kapitałem (np. „Orzeł", „Patria", „Piast", „Polonia", „Port", „Przezorność", „Vita-Kotwica", „Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń" i „Warta") oraz przedsiębiorstwa w pełni zagraniczne („Adria", „Alliance", „Assicurazioni Generali Trieste" i „Prudential").

Do grupy spółek akcyjnych, których kapitał oscylował zazwyczaj między jednym a trzema milionami złotych, należało również Towarzystwo Ubezpieczeń „Europa". Założone w 1920 r., na swój jubileusz dziesięciolecia podniosło kapitał zakładowy do kwoty jednego miliona złotych. Spółka zdobyła popularność

„Nasz Przegląd Ilustrowany"

Siedziba „Europy", ul. Królewska 18, 1930 r.

m.in. w kręgach biznesu żydowskiego, w końcu lat 20. osiągając szczyt powodzenia pod dyrekturą Ignacego Goldmana. Skład zarządu był jednak w większości narodowościowo polski i poza Goldmanem tworzyli go Heliodor Wieczorkowski (prezes zarządu), Jerzy Machlejd i Julian Poczętowski. W swym jubileuszowym bilansie firma chwaliła się wynikami finansowymi, w tym składkami, które w 1929 r. przekroczyły 6,5 mln zł. „Europę" stać było na wystawne siedziby, wprawdzie w starych, ale gruntownie przebudowanych i znakomicie usytuowanych kamienicach. Lepiej dziś pamiętana mieściła się w sześciokondygnacyjnym domu przy ul. Marszałkowskiej 136, róg Świętokrzyskiej, na dachu którego widniał wielki neon-logo: glob ziemski z nazwą spółki. Dziś prezentujemy zdjęcie mniej znanej siedziby „Europy", przy ul. Królewskiej 18. Zamieszczone w 1930 r. w ilustrowanym dodatku do żydowskiego tygodnika „Nasz Przegląd", ukazuje dom świeżo zmodernizowany i nadbudowany, dalece odbiegający wyglądem od pierwotnej postaci czynszówki Szymona Prywesa z 1884 r. Lokalizacja była przemyślana – o krok od biznesowego serca stolicy: ulicy Marszałkowskiej – i równie blisko forpoczty handlu żydowskiego na placu Grzybowskim. W latach 30. liczebnie zwiększył się zarząd, ale nie kapitał, i pod koniec dekady kariera firmy przeszła w fazę upadku, aż do postawienia jej w stan likwidacji w 1938 r. Kamienica przy Królewskiej spłonęła w 1939 r. i przed końcem wojny nie było już po niej śladu. W naszych czasach funkcjonuje w Polsce ubezpieczyciel o tej samej nazwie, ale Europa już nie ta sama.

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

ELEKTRA

Czytelnia słów i dźwięków

ELEKTRA NADAJE!

O książkach i płytach wieczorową porą

Sprawdź na i

Czytelnia Słów i Dźwięków ELEKTRA MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

Mazowsze. serce Polski

28 XI 2020
– 10 I 2021

Zamek Królewski
w Warszawie
– Muzeum

UMARŁ KRÓL

650. rocznica śmierci Kazimierza Wielkiego

Organizatorzy

Zamek Królewski w Warszawie

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mecenas

KGHM Polska Miedź

Partnerzy

Lidex tłumaczenia konferencje

MARSH

Patroni medialni

Polskie Radio

TVP Warszawa

TVP Kultura

TVP Historia

ams

LAVIE

STOLICA

Mówią Wieki